

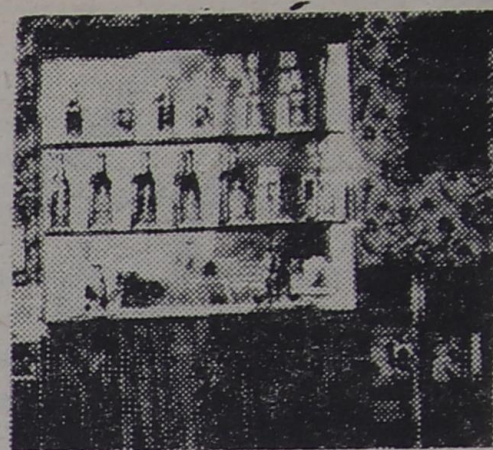
3
polski
dylemat



6
dla rymarza
ze wsi żona



7
fotorepor-
taż Gabora
Lörinczego



13
saga rodu
Forysiof

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

2

(29)

KONTAKTY

18 I 1981

Cena 4 zł



STANISŁAW ZAGÓRSKI

gra w uczciwość

Rzecz działa się w Zbójnej, ale miejsce jest w tym przypadku mniej istotne. Liczą się okoliczności, swoisty mechanizm, wytworzący poczucie bezkarności, żywione przekonaniem: jestem zdrowy, bo inni na to samo chorują.

Z dokumentów Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej: „Treść sprawy pierwiastkowej [...] Jana Bacławskiego. Były naczelnik gminy, członek PZPR od 17.02.1960 r., członek Egzekutywy KG PZPR, obwiniony jest o niewłaściwe wywiązywanie się z obowiązków służbowych oraz współudział w powstawaniu nadużyć finansowych i innych nieprawidłowości w kierowanym Urzędzie.

[...] Edwarda Kozłowskiego, inspektora „Lenopolu”, członka partii od 1971, obwinionego o organizowanie fikcyjnych kursów na tytuł »wykwalifikowany rolnik«, fałszowanie dokumentacji finansowej i nielegalne pobieranie gotówki z kasy Urzędu Gminy w okresie 1976—1980 r.

[...] Mariana Kamińskiego, byłego kierownika gminnej służby rolnej, członka partii od 26.03.1974 r., obwinionego o fałszowanie dokumentacji z kursów szkolenia rolniczego i bezpodstawne pobieranie pieniędzy

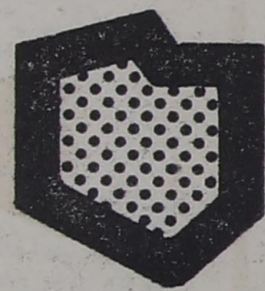
CIĄG DALSZY NA STR. 4—5

przeciw dziesięciolatce

O różnych poziomach nauczania, metodach pozyskiwania wykształconej kadry pedagogicznej, racjonalnych przesłankach rezygnacji z reformy i umacnianiu szkół gminnych — z prof. dr. hab. Mikołajem Kozakiewiczem z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN rozmawia Alicja Basta.



W ŁOMŻY odbyła się narada aktywu ideologicznego KW PZPR, z której zamieszczamy fragmenty wystąpień jej uczestników. RYSZARD INTREBOWICZ (sekretarz KW): „Obecny czas jest okresem emocji, napięcia i trudności oraz poszukiwaniem dróg skutecznych rozwiązań zmierzających do normalizacji życia w kraju. Jest to równocześnie okres głębokich przeżyć, frustracji i rozterek wewnętrznych wielu członków partii. Jednak każdy z nas stoi przed problemem zdecydowanego określenia swojego stanowiska i działania na gruncie socjalistycznej odnowy. Obecnie sprawą bardzo ważną staje się praca POP. Najlepsze bowiem Biuro Polityczne czy Komitet Centralny nie może zrobić bez dobrej partii. Celem pracy ideologicznej w najbliższym okresie powinny stać się: pomoc ludziom w odnajdywaniu siebie, przywracaniu pełnej wiarygodności socjalistycznemu systemowi wartości, odformalizowanie życia ideologicznego, walka z wrogą ideologią”; HENRYK LEBKOWSKI (pracownik UM, Łomża): „Kontakty” bulwersują naszą opinię. Znajdziemy tam rozmowy diabłów, artykuły plotkarskie. Piszcie o dyrektorach a nie przedstawiajcie ludzi pracy. „Kontakty” powinny stać się naszym piśmie, zamieszczać rozmowy stojące przed gospodarką, mówić o naszej łomżyńskiej odnowie”; STANISŁAW



DO KONFRONTACJI stanowisk między rządem a „Solidarnością” doszło w kwestii wolnych sobót. Rząd podjął decyzję, by ostatnia sobota (10.01) była dniem pracy.

W KILKU OSRODKACH kraju (m.in. w Krośnie, Jeleniej Górze, Włocławku, Olsztynie, Toruniu i Częstochowie) w świadomości zorganizowany sposób wywiera się presję na aparat władzy, zmierzającą do wymuszenia na nim zmian kadrowych na stanowiskach kierowniczych w województwie.

Z RADIOWO-TELEWIZYJNEGO wystąpienia Stefana Olszowskiego: „Przejawione zostały inicjatywy, które nawołują do tego, aby również w soboty, które nie zostały ogłoszone jako wolne, pracy nie podejmować. Ci, którzy zajęli takie stanowisko, tylko pozornie stoją na pozycji obrony interesów pracowniczych oraz umowy społecznej [...] Bezkompromisowość, a w istocie rzeczy bezwzględność inicjatorów owych wezwań stanowi nowe zarzewie niepokoju społecznego, źródło podziału w społeczeństwie i jest próbą stabilizacji z takim trudem osiągniętego początku normalizacji życia. W istocie jest próbą sił, rodzajem presji politycznej na rząd [...] Trzeba więc jasno powiedzieć i niech wszyscy wiedzą, jakie jest stanowisko naszej partii w żywotnych sprawach społecznych i gospodarczych. Partia mówi tak — dla rozwoju demokracji socjalistycznej, tak dla odnowy działalności związków zawodowych. [...] I mówi stanowczo nie — próbom wprowadzenia do życia publicznego anarchii i chaosu, mówimy nie — wszelkim kontrowolucyjnym zamiarom.”

Z KONFERENCJI PRASOWEJ wicepremiera H. Kisiela wynika, że projekt planu na bieżący rok jest w dużej mierze oparty na elementach niepewnych, hipotetycznych założeniach, nadziejach i życzeniach. Szacuje się także, że 400—450 mld zł w rękach ludności nie znajdzie na rynku pokrycia w towarach.

KRASOWSKI (wicekurator): „Głównym celem szkolenia partyjnego powinno się uznać upowszechnienie filozofii marksistowskiej, rozłożone jednak w dłuższych i określonych odstępach czasu. Na fali odnowy mamy przykłady naruszenia świętości naszego życia. Wywieszanie emblematów wiary w szkołach, co ma miejsce w niektórych gminach, jest naruszeniem obowiązującego prawa”; **ZOFIA NAPIÓRKOWSKA** (dyrektor Szkoły Podstawowej nr 4 w Łomży): „Żeby skutecznie uczyć młodzież samodzielności Rada Pedagogiczna powinna sama działać samorządnie, gdyż w praktyce są to często tylko pozory. W kształtowaniu autentycznej aktywności uczniów powinno się wykorzystywać obecny proces odnowy. Jedną z cech tego procesu jest wymiana ludzi. Nie powinno to być przedmiotem sensacji. Okazało się także, że zabrakło nam ludzi na wymianę. Powinniśmy się w większym stopniu zwrócić obecnie do demokracji od dołu. Nie możemy czekać aż za nas wszystko załatwi KC. Na razie odnowa znacznie częściej pojawia się w słowach niż w czynach”; **JERZY SZYMANOWSKI** (dyrektor Zespołu Szkół Medycznych): „Brakowało nam i brakuje dobrej informacji. Coraz trudniej jest o gazety, występują niedomówienia w TV. Stwarza to korzystną glebę dla plotek. W procesie odnowy należy rozliczyć się z członkami partii, którzy się nie sprawdzili. Ale też nie powinno się szargać imienia tych, którzy na to nie zasługują. Partia powinna odejść od bezpośredniego kierowania i zarządzania na rzecz wytyczania kierunków rozwoju i kontrolowania realizacji tego”; **CZESŁAW KRAWCZYK** (Wojewódzki Sztab Wojskowy): „W środkach informacji panuje

ELEKTROWNIA „POLANIEC” poinformowała, że jeśli nie otrzyma w najbliższym czasie węgla z kopalni może stanąć, gdyż na składowisku ma zaledwie kilkadziesiąt tysięcy ton węgla co starczy na 5 dni.

MINISTER HUTNICTWA zapowiedział zaprzestanie elektrolizy w Hucie Aluminium w Skawinie, co zlikwiduje wreszcie szkodliwy wpływ emitowanego przez hutę fluoru na zdrowie mieszkańców Skawiny i Krakowa.

Z ROZMOWY z I sekretarzem KW PZPR w Szczecinie („Trybuna Ludu”): „Trzeba będzie powiedzieć ile kto w Polsce powinien zarabiać i np. nie widzę przeszkód, żeby ludzie wiedzieli ile się należy co miesiąc sekretarzowi KW. Jak to będzie wiadome, to i dyskusja stanie się konkretna: komu daje się za dużo, a komu za mało”.

ZARZĄD GŁÓWNY NZZ Pracowników Handlu i Spółdzielczości ustalił, że baza lecznictwa uzdrowiskowego i ośrodki czasowe będą — do czasu generalnego uregulowania — dostępne dla wszystkich pracowników społecznego handlu, niezależnie od przynależności związkowej.

SUKCESEM zakończyła się akcja opanowania erupcji ropy naftowej pod Karlinem. Po ugaszeniu pożaru i nałożeniu prewentywa szyb jest gotowy do rozpoczęcia eksploatacji ropy, której znajdują się tu poważne zasoby.

RZĄD PODJĄŁ decyzję o przekazaniu do dyspozycji kółek rolniczych Funduszu Rozwoju Rolnictwa. Wiek uzyska ok. 4 mld zł rocznie na cel działalności gospodarczej kółek i mechanizację.

UKAZAŁ SIĘ nowy tygodnik pt. „Jedność”, który jest piśmie NSZZ

obecnie duża samowola. Wypowiedziane są różne poglądy, brak jest jednolitego stanowiska. Prezentują się ludzie, którzy jeszcze niedawno „nie myśleli samodzielnie” bo nie pozwolili „góra”. A czy teraz coś wymyśli? W dalszym ciągu istnieją siły, którym socjalizm się nie podoba. Jednak w „Solidarności” należy szukać elementów pozytywnych”. Na zakończenie narady Stefan Opara (z-ca kierownika Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR) przedstawił problemy, które aktualnie znajdują się w centrum uwagi wydziału. Ustosunkował się on także do niektórych problemów poruszanych w dyskusji. Po naradzie odbyła się projekcja filmu „Robotnicy 80”.

6 STYCZNIA miał miejsce w Szepietowie wiec rolników poświęcony mówieniu wszystkiego, co wsi leży na sumieniu. Zjechało tu dwa tysiące gospodarzy z województwa łomżyńskiego.

13 STYCZNIA odbył się w Wysockim Mazowieckim Założycielski Gminny Zjazd Związków Kółek i Organizacji Rolniczych.

W SZCZUCZYNIE odbyła się sesja Rady Narodowej Miasta i Gminy na temat rozwoju kultury fizycznej na lata 1981—85. Nowym przewodniczącym wybrano Czesława Niklińskiego, dyrektora Zbiorczej Szkoły Gminnej.

KOMISJA HISTORYCZNA Rady Wojewódzkiej FSZMP w Łomży zorganizowała w dniu 13 stycznia br. sesję popularno-naukową poświęconą setnej rocznicy powstania ruchu robotniczego w Polsce. Program wzbogacił koncert Orkiestry.

„Solidarność” Pomorza Zachodniego o objętości 8 kolumn i nakładzie 100 tys. egzemplarzy.

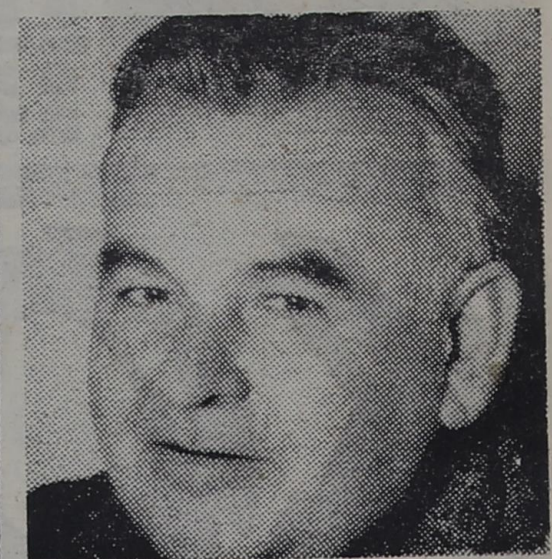
LECH WAŁĘSA został przez redakcję francuskiego tygodnika „Le Point” uznany za człowieka roku.

KRZYSZTOF MOSTOWICZ w artykule „Eksperyment polski” (Przegląd Techniczny nr 1 z 4.01. br.) pisze: „Warto chyba pokusić się o to, by telewizja stała się pełnoprawnym środkiem praktykowania demokracji i przyczyniła się do zastosowania bardziej sprawnych metod sprawowania władzy niż dawne mechanizmy wytworzone w innych formacjach. Mienimy się państwem socjalistycznym, a tymczasem rządymy się wciąż za pomocą instytucji wypracowanych przez burżuazję, która sama dziś uznaje je za niewydolne i niewiarygodne”.

KARTKI są elementem stanu wojennego — pisze w „Polityce” (nr 2, 81 r.) Henryk Kowalczyk — i tylko w warunkach bezwzględnej przynusy i potrzeb wyznaczanych przez nędzę mogą funkcjonować w miarę skutecznie i porządkująco. Dziś (na szczęście) nie ma warunków po temu. Stąd kartki staną się przeszczerpem z gospodarki stanu wojennego do organizmu demokratycznego, o określonych wymaganiach; przeszczerpem, który organizm ten może odrzucić.”

O OPTYMISTYCZNEJ HODOWLI, to tytuł artykułu Ludwika Staszynskiego („Życie Gospodarcze”), w którym autor stwierdza: „W gospodarstwach upolowanych pewna redukcja pogłowia może ułatwić uporanie się z różnymi trudnościami nie tylko paszowymi. Np. z niskimi przyrostami wagi żywej, które wynoszą średnio poniżej 400 gramów dziennie, tzn. co najmniej o połowę za mało. W gospodarstwach tych wielkie straty przynoszą też upadki, wynoszące prawie 1/3 pogłowia trzody. Nie stać nas na produkcję padliny na paszach z importu.”

dwa tyki ekonomiki



kość niezgody?

Projekt wprowadzenia racjonowania mięsa, wędlin i tłuszczów powstał nie bez trudności. Kolejne przymiarki, kolejne wersje i chociaż czas pili nie wszystko — moim zdaniem — zostało wyjaśnione do końca.

W listach do redakcji przeważa głos: chcemy kartek. Padają propozycje: tyle schabu, tyle wołowego — kaszanka, to bez kartek. Są nawet wzory jak powinny wyglądać kartki, jakiego być koloru, ile „punktu” za jaki gatunek mięsa i wędlin.

Przeczytałem wszystkie publikacje prasowe na temat reglamentacji mięsa, wiele listów jakie nadesłano do redakcji, wysłuchałem audycji radiowych i telewizyjnych na ten temat i przyznam szczerze, że mam coraz więcej wątpliwości.

Mówiąc bez ogródek: kartki na mięso mają przynieść — w odczuciu domagających się tego rozwiązania — psychologiczny efekt sprawiedliwości społecznej w podziale deficytowego dobra. Jestem pesymistą — spodziewam się, że po wprowadzeniu kartek więcej będzie niezadowolonych niż usatysfakcjonowanych. Może się zrodzić, wbrew intencjom, kość niezgody. Tym razem dosłowna — wieprzowa czy wołowa. I nie widzę na to rady.

Gdy słyszę wzruszające słowa jak to dzieciom trzeba przyznać tyle a tyle dekagramów szynki, jak pamiętać o zdrowiu ludzi chorych i starych ogarniają mnie mieszane uczucia. Cieszy wiara w sprawiedliwość, zainteresowanie sprawami społecznymi, martwi niezamierzony idealizm, przekonanie, że poza stosunkami towarowo-pieniężnymi „na kartki” można dokonywać najtrafniejszych podziałów, że dając według pracy można dzielić według potrzeb.

Osobiście uważam, że jeżeli już miałyby być wprowadzone kartki to tylko na zasadzie częściowej gwarancji dostaw podstawowych asortymentów. Jeżeli wielu twierdzi, że nie może stać w kolejkach i dlatego ich rodziny mięsa nie jedzą — to jest to argument za zapewnieniem minimum, ale nie przekonuje mnie, żeby całą pulę dostaw mięsa, wędlin i tłuszczów podzielić na kartki.

Jest jeszcze jeden aspekt sprawy: tzw. wolny rynek mięsa. Doświadczenia uczą, że żadne zakazy tu nie pomogą. Im ostrzej będzie się karał taki proceder, tym wyższe będą ceny („ceny ryzyka”). Działania obiektywnych praw ekonomicznych nikt nie jest w stanie przeskoczyć. Może się wtedy okazać, że dzisiejsze ceny komercyjne to „betka” w porównaniu z tym, ile będą żądać na bazarach.

JERZY BIELECKI

Jeszcze do końca lutego br. „PAMIĘTNIK NASTOLATKA”

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom wielu Czytelników — przedłużamy do 28 II br. termin nadsyłania prac na nasz ogólnopolski konkurs pod nazwą „Pamiętnik Nastolatka”, licząc, iż w pamiętnikach (dotychczas napłynęło ich około pół tysiąca) młodzież jeszcze wyraźniej określi swoje miejsce w procesie odnowy życia społecznego kraju.

Nadzieje i zwątpienia towarzyszą nam od progu nowego roku. W wymiarze osobistym ale też i w wymiarze spraw całego kraju i narodu. Jak najważniejsze problemy i dylematy stojące przed nami wszystkimi od burzliwych przemian polskiego lata 1980 widzą politycy, twórcy, naukowcy i działacze społeczno-gospodarczy — przedstawiamy publikując dziś kolejne wypowiedzi w naszej ankiecie. W następnych numerach zamieścimy dalsze głosy m.in. prof. R. Manteuffla, Sz. Kobylińskiego i St. Albinowskiego.

Marcin Wolski, satyryk

musimy uwierzyć

Nadzieje i zwątpienia. Ja nie czuję takiej rozterki. Nie wolno zwątpić mimo wszystkich obaw i lęków, które w nas pulsują. Jeżeli chcemy coś naprawdę zmienić, wykorzystać historyczną szansę, nie możemy mieć wątpliwości. Nie zgadzam się z tymi, którzy ciągle straszą nas „krawędzią katastrofy”. Owszem, sytuacja jest trudna, ryzykowna, a emocje muszą być ostrożne i wyważone.

Polski Sierpień traktuję jako jedną z największych szans naszego narodu a jednocześnie bardzo szczęśliwe wydarzenie. To tak jak z porodem; przyjsie na świat dziecka powoduje ogromną radość, ale i świadomość niebezpieczeństw. Nie możemy dać się ponieść zbyt wielkim emocjom. Okazało się zresztą, że nasz naród wykazał dużo odpowiedzialności. Jako historyk z wykształcenia mogę odnotować, że spokój w jakim przebiegała tak głębokie przeobrażenia i zmiany jest niezwykle rzadkim zjawiskiem.

Nie należę do tych, którzy mówią — „Przestać dyskutować”, bo dyskutować trzeba, ani do tych, którzy nawołują do opamiętania, bo ono jest. Życzylbym sobie jedynie więcej czynów a mniej gestów, nawet znaczących.

Mój optymizm jest zapewne sprawą pokoleniową. U ludzi młodych, jak to mogłem zaobserwować podczas licznych spotkań, stosunek nadziei do obaw, entuzjazmu do krytycyzmu wypada na korzyść nadziei i entuzjazmu. Starsze pokolenie jest bardziej ostrożne i wątpliwe, co tłumaczy się jego bagażem doświadczeń. Musimy wszyscy uwierzyć w realność odnowy, tak lekarz musi wierzyć, że dobrze przeprowadzi operację, jak pilot, że doleci i autor, że napisze utwór, który znajdzie czytelnika.

Racjonalnych przesłanek mojego przekonania o powodzeniu zmian upatruję po pierwsze — w niezwykłym ożywieniu aktywności ludzkiej we wszystkich dziedzinach życia, a po wtóre — w poczuciu odpowiedzialności, jakie nasze społeczeństwo wykazuje w trudnych momentach. Gwarantami trwałości zmian byłyby: demokratyzacja środków przekazu i życia wewnątrzpartyjnego oraz właściwe funkcjonowanie Sejmu i związków zawodowych. Dotychczasowe zmiany już pozwalają żyć umiarkowany optymizm.

Natomiast na moim autorskim podwórku, wbrew pozorom, jest bardzo trudno. Znacznie zmniejszyły się przeszkody, które mnie, autora „rzeczy do śmiechu”, ograniczały, ale w momencie, gdy cele ataku stają się odślonięte, godzenie w nie przestaje być frajdą. Satyra nie jest już zabawą z odwagi. Coraz bardziej natomiast zaczyna liczyć się forma i zawartość myślowa. W momencie, gdy ministrowie i publicyści mówią publicznie o sprawach, które jeszcze pół roku temu były tabu, satyryk musi szukać dalej i głębiej, lub inaczej.

Inż. Zygmunt Grygo, przewodniczący WRN w Łomży, dyrektor POM-u.

zmiany dopiero nadejdą

Negatywne zjawiska w naszym życiu społecznym, gospodarczym i politycznym narastały przez wiele lat. Szerzyło się więc łapownictwo, sobiepaństwo, alkoholizm, minimalizacja wartości etyki i patriotyzmu. Tylko nieliczni ośmielali się jawnie postępować. Zastanawiałem się wówczas niejednokrotnie jak możemy wybrnąć z tej sytuacji. Nasuwał mi się jeden wniosek — ratunkiem może być jedynie samoobrona społeczeństwa, chociaż trudno było określić, jakie metody i formy ona przybierze. Okazało się, że były nimi masowe, dobrze zorganizowane strajki, zakończone podpisaniem umowy społecznej. Bez tego typu powszechnego protestu proces odnowy nie mógłby nigdy się rozpocząć. Natomiast większość przestojów po podpisaniu umów na Wybrzeżu i w Jastrzębiu nie było już konieczne.

Nasze trudności gospodarcze nie powstały w 1980 roku, nie spowodowały ich także strajki. Przypomina mi się anegdota sprzed kilku lat o japońskich przemysłowcach odwiedzających nasz kraj. „Dlaczego u was wszyscy ciągle strajkują?” pytali, przyglądając się pracy w naszych zakładach. Rzeczywiście pracowaliśmy na pół i ćwierć obrotach, bo przeszkadzał nam brak odpowiedzialności i nierozliczanie ludzi na wszystkich stanowiskach, częste gadulstwo na zebraniach i naradach, nieudolna organizacja pracy. Niemalże czasu traciliśmy na uprawianie slalomów wśród gąszcza bzdurnych przepisów oraz na studiowanie tomów wzdętych instrukcji.

Poważne zmiany i reformy dopiero nadejdą. To, co się stało do tej pory jest pierwszym etapem odnowy. Jako dyrektor przedsiębiorstwa mogę być optymistą. Ludzie zaczęli pracować lepiej, bardziej przejmować się sprawami zakładu. 29 i 30 listopada, w dniu wolnym od pracy, nasza „Solidarność” zainicjowała społeczną pracę. Przychodziło po 60 osób, żeby nadgonić zadania planowe.

Zaczyna się nieznacznie poprawiać współpraca z kooperantami. Sądę, że społeczeństwu potrzebna jest teraz przede wszystkim dobrze zorganizowana praca, odpowiednie zaopatrzenie rynku oraz silna władza.

Reforma gospodarcza stawia na samodzielność przedsiębiorstw. Na razie nie narzucono nam żadnego planu ogólnego. Ustaliliśmy własny plan rzeczowy na styczeń. Zbudowanie planu nie jest trudne. Chodzi tylko o to, aby opierać go na racjonalnych miernikach. Dotychczas najważniejszym wskaźnikiem była produkcja globalna. I tak, przykładowo, jeśli sto zakładów współpracuje przy produkcji jakiegoś urządzenia lub maszyny, to jeden zakład robi detal, który wycenia i sprzedaje następnym zakładom. Ten z kolei wmontowuje go w podzespół, oblicza jego całkowitą wartość i sprzedaje innemu kooperatorowi, który włącza ten podzespół do zespołu,

oblicza całkowitą wartość i... łańcuch ma jeszcze wiele ogniw. Tak obliczana produkcja globalna nie mówi nic konkretnego o pracy danego przedsiębiorstwa i fałszuje obraz rzeczywistości.

Do poprawy pracy przedsiębiorstw przyczyni się również samodzielne gospodarowanie funduszem płac. Pozwoli to na zwalnianie zbędnych ludzi i podnoszenie płac zatrudnionym, co spowoduje zwiększenie szacunku do pracy.

Wiele osobistych niepokojów i nadziei wiąże z funkcją przewodniczącego WRN. Jest to dla mnie zupełnie nowe i niezwykle ważne zadanie. Zakładam, że praca radnych powinna w znacznym stopniu przyczyniać się do demokratyzacji życia społecznego, moralnego i patriotycznego wychowania narodu oraz uzdrowienia gospodarki kraju.

Odnova nie przysła do nas sama, z góry. Dlatego niczego nie naprawiając się na smutnym w oparciu o wszystkich obywateli, rozwijając ją w nas samych. Jest to jedyny wniosek z dylematu Polski w roku 1981, pod którym się podpisuję.

Inż. mgr Andrzej Zimowski, dyrektor Zespołu Przemysłu Chemicznego w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów

odwrócić proporcje

Ostatnie miesiące pokazały wyraźnie całą tragedię gospodarczą Polski. Symptomy tego, do czego doszło, były przez wiele osób dostrzegane od dawna, jednak nieśmiało próby zwrócenia uwagi na powyższe były konsekwentnie i radykalnie tłumione.

A więc co będzie dalej? Czy wątpić w możliwość poprawy sytuacji, opierając się na smutnym doświadczeniu wielu lat? Czy też mieć nadzieję, że jednak wreszcie nastąpi prawdziwa odnowa, nie tylko zapowiadana przez wielu działaczy i mówców?

Wychodzę z założenia, że powinno się mówić o tym, co się zna. Dlatego też problem zawęziłem do tematyki krajowego przemysłu chemicznego.

Każdy obywatel PRL zetknął się na przestrzeni ostatnich lat z ostro narastającym problemem braku wyrobów chemicznych w sklepach. Rolnik, gdy nie mógł kupić nawozów sztucznych i środków ochrony roślin; człowiek, dotknięty nieszczęściem choroby, gdy w kolejnej aptece słyszał twarde stwierdzenie: nie ma; gospodyni domowa, mająca kłopoty z kupnem proszków do prania.

Co się więc stało? Dlaczego chemia, która na całym świecie żywi, leczy i ubiera, u nas na przestrzeni ostatnich lat nagle przestała spełniać te funkcje? Przecież tego zjawiska nie można tłumaczyć powodziami, ostrą zimą, neurodzajem...

Już na początku lat siedemdziesiątych zabrałem publicznie głos na ten temat na łamach „Życia Gospodarczego”, zwracając uwagę na fakt rysującego się coraz wyraźniej niedorozwoju przemysłu chemicznego w kraju, na powstającą coraz większą dysproporcję między tempem rozwoju gospodarki a tempem rozwoju chemii.

Na całym świecie jest rzeczą dowiedzoną, że aby przemysł chemiczny był prawdziwym nośnikiem postępu (a tym powinien być), jego rozwój musi następować szybciej niż pozostałych gałęzi gospodarki. Ministerstwo Przemysłu Chemicznego wystąpiło na przełomie lat 1973/1974 z „Programem Chemizacji Gospodarki Narodowej”. Jego pełna realizacja wprowadziłaby radykalny zwrot w zaopatrzeniu kraju w wyroby chemiczne, w zwiększeniu eksportu i zmniejszeniu importu. Niestety, w praktyce „Program” pozostał na papierze, życie poszło innym torem, w kształtowaniu polityki rozwoju kraju zwyciężyły zupełnie inne kierunki, a chemia nie mająca opiekunów na najwyższych szczeblach i nie rozumiana ze względu na złożoność technologiczną, stała jak kopciuszek na progu rozgrywaniających się wydarzeń, o czym teraz każdy obywatel naszego kraju może naocznie przekonać się w sklepach.

Oczywiście,łożono pewne środki na rozwój chemii, ale budowa „Polic” czy kompleksu polichloru winylu we Wrocławiu i Płocku to tylko rozwiązanie fragmentów faktycznych potrzeb. Wiele wytwórni wymaga natychmiastowej modernizacji. W zakładach w Wolbromiu, Łodzi, Henrykowie, Woli Krzysztoporskiej, Uboczcu i wielu innych wala się stropy, pękają ściany, rozpadają skorodowane instalacje. Cóż więc będzie dalej? Należy wątpić czy też mieć nadzieję? Zmarnuje się do końca dorobek wielu lat czy też zwycięży wreszcie zdrowy rozsądek i rachunek ekonomiczny, który wyraźnie powie: prowadziliśmy błędną politykę, ale teraz dość, na zimno, z ołówkiem w ręku wyliczymy, czy stać nas będzie na dalsze zainicjowanie przemysłu chemicznego, który wszędzie na świecie potrafi przynieść tyle korzyści społeczeństwu...

Zawsze, nawet w najtrudniejszych chwilach, byłem optymistą. Dlatego i tym razem wierzę, że najbliższe pięciolecie potrafi odwrócić zachwiane proporcje. Wierzę, że przemysł chemiczny potrafi znaleźć zrozumienie nawet u tych, u których prosty wzór H_2SO_4 budził do tej pory tylko nieznaczący ruch ramion.

Sądę, że nie może być dylematu: zwątpienie czy też nadzieja. Potrzeby kraju zmuszają do konkretnego działania, do logicznego myślenia, do przyjęcia prawdziwych rachunków ekonomicznych. Ten proces musi nastąpić w przemyśle chemicznym, musi nastąpić w całej gospodarce. Nie może być tak, żeby Polska, leżąca na bogatych pokładach soli, importowała kwasu solnego. Nie można dależej spalać smół, zawierających całe bogactwo podstawowych surowców chemicznych, od benzenu począwszy. Dlatego nie może być żadnego dylematu — jest tylko nadzieja.

Opracowali: D. A. WRONISZEWSKY

punkt widzenia



kontakty kontaktów

W związku z zarzutem podniesionym przez Tymczasowy Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” w Spółdzielni Transportu Wiejskiego Oddział w Kolnie pod adresem organów ścigania (notatka w „Kontaktach” nr 24) za rzekomo przewlekłe prowadzenie postępowania karnego w sprawie osób winnych nadużyć w tej Spółdzielni, uprzejmie informuję, iż po zapoznaniu się z aktami śledztwa prowadzonego przez prokuratora Rejonowego w Łomży nie stwierdziłem opieszałości w podejmowaniu czynności procesowych dla pełnego i obiektywnego wyjaśnienia przedmiotowej sprawy.

Stwierdzenie, iż „od dawna wiadomo, że nadużycia takie w STW Kolno miały miejsce i wiadomo kto za nie odpowiada” nie zwalnia prokuratora od obowiązku skrupulatnego zebrania dowodów w sprawie, a także sprawdzenia obrony podejrzanych.

W dniu 11 grudnia 1980 r. zostali tymczasowo aresztowani dyrektor Spółdzielni Transportu Wiejskiego Oddział w Kolnie oraz zastępca dyrektora tejże Spółdzielni, którym postawiono zarzuty przyjmowania korzyści majątkowych w związku z urzędowaniem od podległych im kierowników za przydzielanie do eksploatacji nowych samochodów oraz przywłaszczenie mienia społecznego wartości około 30 tys. zł.

mgr JERZY KUBRAK
Prokurator Wojewódzki

★

Dnia 18 grudnia 1980 r. w miejscowości Pruski (1 km od Zambrowa) został potrącony przez samochód mój dziesięcioletni syn. Uderzenie było groźne — dziecko broczyło krwią i było nieprzytomne. Trzymałam je na rękach i wołałam pomocy. W tym czasie nadjechała taksówka nr 2 (nr rejestracyjny LON 0860) z Łomży. Świadców wypadku zatrzymali ją w celu przewiezienia dziecka do szpitala. Jednak taksówkarz odmówił, tłumacząc, że ma pasażerów. Odejechał nie licząc się z zagrożeniem życia dziecka. Do szpitala odwiózł mnie i dziecko ofiarny kierowca zatrzymanego dopiero po kilku minutach „malucha”. Nie znam nazwiska ani jednego ani drugiego kierowcy. Nie mniej jednak kierowcy „malucha” składam tą drogą serdeczne podziękowania za pomoc, a do taksówkarza apeluję, aby w przyszłości był nie tylko kierowcą, ale również człowiekiem.

TERESA GRADZKA
Pruski (gmina Zambrów)

★

W odpowiedzi na zamieszczoną w „Kontaktach” nr 26 notatkę w sprawie nie udzielenia odpowiedzi na postulat zgłoszony przez załogę Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii w Łomży informuję, że odpowiedź na postulat tego zakładu oraz innych zakładów zlokalizowanych przy ulicy Nowogrodzkiej została udzielona w dniu 30 września 1980 r. do WRZZ w Łomży, która to instytucja wystąpiła w ich imieniu. Jednocześnie informujemy, że propozycję zmian rozkładów jazdy oraz układu tras komunikacyjnych w mieście rozstrzygnie Prezydent Miasta przy wprowadzaniu nowego rozkładu związanego ze skróceniem tygodniowego czasu pracy.

inż. ZYGMUNT STEFANOWICZ
Zastępca dyrektora Rejonowego Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Łomży

★

Serdecznie proszę redakcję o wydrukowanie mojego listu, ponieważ sprawa, którą poruszam jest bardzo ważna dla młodzieży naszej wsi. Cwałiny (gmina Stawiski) są małą wioską, toteż nie ma tu żadnych ośrodków kulturalnych, gdzie młodzież mogłaby wesoło spędzać czas wolny. Sytuację ratuje tylko boisko, na którym grywamy w piłkę nożną. Jednak starsi mieszkańcy wsi uniemożliwiają nam to, wywożąc na ten teren sterty kamieni i zrzucając je dokładnie na środek

CIĄG DALSZY NA STR. 5



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

oraz akceptowanie fikcyjnie sporządzonej dokumentacji do wypłat.

[...] **Bogusław Borysa, instruktora do spraw melioracji i łakarstwa, członka partii od 29.05.1967 r., obwinionego o fałszowanie dokumentacji finansowej z prowadzonych szkoleń rolniczych.**

[...] **Jana Gawrycha, inspektora do spraw budownictwa, członka partii od 26.03.1974 r., I-go sekretarza POP przy Urzędzie Gminy, obwinionego o współudział w powstawaniu nieprawidłowości w zakresie rozdziału materiałów budowlanych”.**

WIZJA LOKALNA

Wyjazdowa sesja Zespołu Orzekającego Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej odbywa się w lokalu gminnej instancji; zatem — blisko ludzi i ich zaciekawionych spojrzeń, których świderek czują na sobie zarówno obwinieni, jak i orzekający. Choć sprawy nie ma na afiszu. W zespole dwóch etatowych pracowników aparatu partyjnego: Jan Dziennisiuk, przewodniczący WKKP, Henryk Pietrzak, inspektor tejże komisji, i społeczni członkowie: Anna



zażyłości otwierającej furtki korzyści, i to w imię postępu rolniczego.

Jeszcze rok, dwa lata temu gmina Zbójna zbierała pochwały za szkolenie rolnicze, podnoszenie kwalifikacji producentów wiejskich, demonstracje upraw kukurydzy na kiszonce, modernizację obór, pokazy odchovu cieląt, parowanie ziemniaków, zoohigienę, budowę silosów, olimpiady wiedzy rolniczej, wystawy; za pełnienie z miejsca postępu. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że na tym postępie, jak się dobrze głową ruszy, może i budżet rodzinny urzędnika skorzystać. Komuż będzie chciało się sprawdzać, czy w jakichś Laskach, czy Wykach, odbył się pokaz odchovu cieląt, czy nie odbył, były zajęcia na kursie rolniczym, czy nie były? Tym bardziej że postęp rolniczy lubi czas, kiedy drogi zawiane.

Grupy kontrolne miały więc trudne zadanie. I w rezultacie wyłowiły tylko najbardziej jaskrawe wpadki wspomnianych pracowników urzędu gminnego. Choćby te: „wykładowca szkoli rolników w tych samych dniach i godzinach na dwóch różnych kursach, nawet w innych miejscowościach i w czasie kiedy przebywał w odległych podróży służbowych”; „Wypłaty za budowę silosów dla rolników, którzy od kilku już lat mieli je pobudowane. Np. dokonano dopłaty na budowę silosu



PRZESŁUCHANIA

Wejścia są indywidualne, według funkcji i rozmiarów obciążeń, stała formuła powitalna: — Zarzuty znacie, podpisaliście je. Słuchamy.

Bacławski: — Już kilka razy wyjaśniałem sprawę kursów. Ja wtedy byłem krótko naczelnikiem i całej tej nomenklatury nie znałem. Kontaktowałem się z kierownikiem służby rolnej, wierzyłem mu, formalnie tylko podpisywałem. On zawsze przychodził do mnie z plikiem dokumentów, nie było sposobu wnikać. Nie zwróciłem uwagi, nie unikałem błędów. Jeśli chodzi o materiały budowlane, do 1978 roku rozdzielaliśmy komisyjnie. Dopiero po kontroli kompleksowej trochę się to rozeszło, ale rolnicy nie odwoływali się specjalnie. Sam nie korzystałem, tylko raz poprosiłem, żeby mi przydzielono wapno. Zaufałem kierownikowi służby rolnej; z polecenia towarzysza dyrektora Malinowskiego z Urzędu Wojewódzkiego, uważałem, że to dobry człowiek. Jak tu przychodziłem, gmina Zbójna nie wyszła na I miejsce — co prawda — była na ostatnim miejscu, ale po jakimś czasie poprawiliśmy wskaźniki. A później — rok dobrze, rok źle, jak w życiu. Z zarzutem, iż po zdjęciu mnie z naczelnika przydzieliłem blachę, nie zgadzam się: po zdjęciu niczego nie dzieliłem. Tak by się

gra w uczciwość

Wyrwas — pielęgniarzka, Dolia Szpurko — sędzia Sądu Wojewódzkiego, Cyryl Łaguna — dyrektor Wydziału Kontroli i Instruktażu UW, Jerzy Sulewski — dyrektor Banku Spółdzielczego w Szczuczynie oraz Józef Dunajewski — dyrektor WZSP, Oddział w Łomży.

Wejrzymy w całość materiałów. Zgromadzono je, jak zwykle w takich przypadkach, angażując zarówno aparat administracyjny, tym razem pracowników Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego, nadzorującego pracę obwinionych („Protokół dorocznej rewizji gospodarczej przeprowadzonej w Urzędzie Gminy” — 18 stron maszynopisu plus załączniki), inspektorów oraz aktyw Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej — szczegółowe rozmowy, przesłuchania i poprzedzający posiedzenie zespołu orzekającego dokument „Treść sprawy pierwsiastkowej”.

Choć każda z tych osób ma teraz osobną kartotekę w WKKP, to przecież działały one nierozłącznie, w

Ob. Wacławowi Burzyńskiemu, z gm. Zbójna kol., gdzie po sprawdzeniu okazało się, że w/w rolnik posiada trzy silosy wybudowane przed siedmioma i dziesięcioma laty”. Forowanie krewnych i znajomych: z funduszu na popieranie postępu rolniczego dostają bezpłatne nasiona, aby zademonstrować uprawę kukurydzy na kiszonce, mieszkanki paszowe na pokazowy opas bydła rzeźnego, pieniądze na „pokaz odchovu cieląt”. Przy czym, jak się okazało, jedyną formą demonstracji był odbiór pieniędzy w kasie lub naturalistów z magazynu (dotyczy to szczególnie rozległej rodziny Kamińskich). Wydawanie zaświadczeń fałszywie stwierdzających, że mieszkańcy Warszawy — tu długa lista nazwisk, przeważnie pracowników naukowych — są zameldowani na terenie gminy i posiadają gospodarstwa rolne, co umożliwiło im zdobycie świadectwa „wykwalifikowany rolnik” i otworzyło „możliwość nabywania w terenie działek produkcyjno-rekreacyjnych”.

mogło wydawać, że jak tu urodzony i z zawodu nauczyciel, to powinienem wszystkich znać. Ale tak szczerze mówiąc, ja niewiele znałem, szczególnie tu w Zbójnej.

— A ci „rolnicy z Marszałkowskiej”? Jak doszło do takiej zażyłości? Na polowaniach?

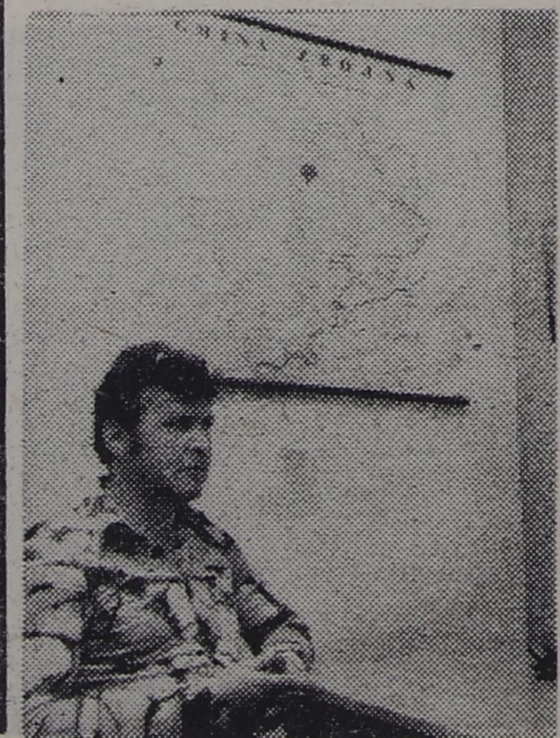
— Tak szczerze, po partyjnemu, to ja w tych polowaniach nie brałem udziału, no, tylko raz, i to w innym kole myśliwskim. Bliżej poznałem ich po fakcie: jak dostali te zaświadczenia. Te historie z postępowaniem rolniczym, delegacjami, dotacjami... tak naprawdę — nie wiedziałem, podpisywałem w ciemno. Bo zawsze mieli jakieś tam podkładki.

— We wszystkich tych pokazach nie ma dokumentacji, że coś takiego się odbyło.

— Ufałem współpracownikom.

Przewodniczący: — Na razie jesteście wolni.

Wniosek: — Lepiej razem wszystkich przesłuchać, bo będą kręcić.



Kontakty kontaktów

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

boiska, choć obszar jest dość duży i starczyłoby miejsca na uboczu. Zdewastowali nam również bramki do piłki nożnej, w wykonanie których włożyliśmy dużo wysiłku. Dlaczego są tacy niewyrozumiali, przecież sami kiedyś byli młodzi?

ROMAN CWAŁIŃSKI

Cwality (gmina Stawiski)

☆

Reportaż Kazimierza Siemieniako „Pitagoras w wersji gminnej” („Kontakty” nr 18) jest spóźniony o trzy miesiące i — jak sam Autor zaznaczył — wiele się w tym czasie zmieniło. Można powiedzieć, że upłynęła cała epoka.

Zjadliwy komentarz na temat mojej osoby i mojej działalności zawiera wiele nieścisłości i przekłamań charakterystycznych dla okresu minionego. Nie zamierzam polemizować z oceną pracy mojej w gminie Boguty, której pan Siemieniako najwyraźniej nie zna nawet ze słyszenia, ponieważ rezultaty mojej pracy na stanowisku naczelnika są w gminie widoczne na każdym kroku. Nie musiałem zatem robić wokół swojej osoby „propagandy sukcesu” w rodzaju podpierania się tytułami „Wybitnych Polaków”, ani robić żadnych „modnych wejść”, które tak się podobają dyrektorowi Anusewiczowi. Szkoda, że wnikliwy reporter nie zainteresował się, czy to nie rozmaite „mocne wejścia” spowodowały, iż Edward Szepietowski jest „człowiekiem nie akceptowanym przez aktyw”. Dość charakterystyczna dla jego mentalności jest uwaga, że „jeśli ktoś ma akceptację pierwszego sekretarza z Łomży”, to powinien być od razu czczony przez „miejscowych notabli”.

Szkoda, że redaktor Siemieniako nie znalazł czasu, by pofatygować się na proces, lub przynajmniej zażądać do akt sprawy. Przeczytałby tam, że robotników do wynoszenia sprzętów angażował sam Komendant Posterunku MO w Bogutach i przed rozpoczęciem eksmisji urządzono im u naczelnika śniadanie zakrapiane alkoholem (zeznania dwóch świadków, w tym funkcjonariusza MO), że płacno robotnikom bez podpisywania listy, zaś mnie naczelnik Szepietowski obciążył sumą 4300 zł, bo taką sumę pobrał sam w księgowości UG.

Niepotrzebnie redaktor Siemieniako dał się uwieść taniej sensacji pisząc o „sztabkach złota”. Boguty to nie Monte Carlo, więc po cóż to zadęcie. Nie zaskarżyłem też Urzędu Wojewódzkiego tylko Skarbu Państwa. A że naczelnik Szepietowski nie przewidział wszystkiego, to rzeczywiście prawda. Nie przewidział, że wygram proces. Tak właśnie się to skończyło.

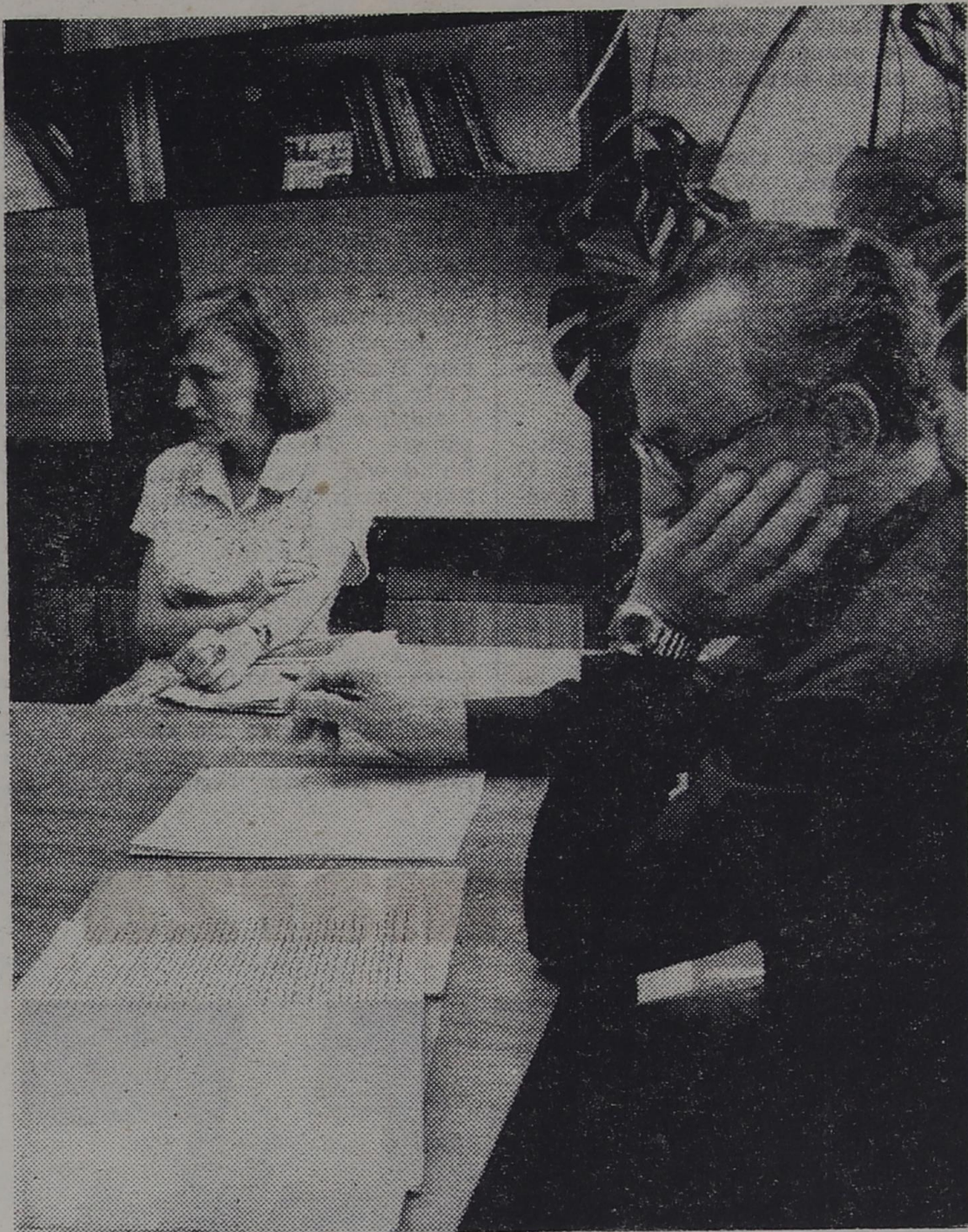
I wreszcie sprawa prasy. Nie mam „własnej” prasy, choć niekiedy bardzo tego żałowałem. Jestem nieco w niezręcznej sytuacji, bo w myśl kryteriów przyjętych przez redaktora Siemieniako opublikowanie mojej wypowiedzi na łamach „Kontaktów” mogłoby dowodzić, że gazeta ta powiększyła grono moich organów prasowych. Mam jednak nadzieję, że redaktor Siemieniako jest przynajmniej w tym poglądzie odosobniony. Dlatego też mam zaszczyt prosić o opublikowanie tego listu w imię dobrych obyczajów dziennikarskich.

Z wyrazami szacunku
ROMAN KARACZUN
Warszawa

☆

„Kontakty” bardzo mi się podobają. Zawsze można znaleźć w nich wiele ciekawych artykułów dotyczących naszego województwa, różnych gmin i małych miasteczek. Podobają mi się także „Śpięcia” i sprawy w nich poruszane. Martwi mnie tylko, że nie w każdym numerze znaleźć można krzyżówkę i ciekawy humor. Myślałem, że można byłoby drukować w „Kontaktach” również niektóre interesujące teksty piosenek, co by jeszcze bardziej urozmaiciło wasze łamy, a także przysporzyło nowych czytelników.

KRZYSZTOF RATNAJ
Wysokie Mazowieckie



WERDYKT

Po sporach zespół orzekający dochodzi do wspólnego stanowiska. Wymierza kary, od których — jak wszystkim ukaranym — przysługuje odwołanie do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, a nawet do Zjazdu:

Jan Baclawski — wydalenie z partii.

Marian Kamiński — wydalenie z partii.

Jan Gawrych — wniosek do POP o dyscyplinarne zdjęcie z pierwszego sekretarza.

Bogusław Borys — ustne napomnienie („To już chyba się nie powtórzy. Żałuję bardzo, żadnego zysku z tego nie miałem”).

Edward Kozłowski — wydalenie z partii („Ja się wcale nie będę odwoływał”).

UWAGI KOŃCOWE

Przewodniczący: Mielśmy tu różne zdania. Ale te kary są sprawiedliwe. Nie jesteśmy organem śledczym, my badamy morale, postawy, zachowania, by zawsze były zgodne ze statutem. Jesteśmy sumieniem partii.

Przy odejściu dodaje. — No to co, towarzysze, zmieściliśmy się chyba w czasie?

STANISŁAW ZAGÓRSKI
FOF. GABOR LÖRINCZY

— Nie zmieniamy trybu postępowania. Kto kręci, ten się bardziej obciąża.

Kamiński: — Tu był początek mojej pracy, najpierw jako instruktora, a później jako kierownika służby rolnej. Nie wykluczam, że były jakieś usterki w mojej pracy. Ale nam w tym „pomagano” — dostawaliśmy plany ilości kursów, osób. I trzeba było na głowie stawiać, a to wykonać. Nie dla siebie przecież te kursy robiłem!

— Ale pieniądze to umieliście brać...

— Ja te kursy organizowałem, egzaminy też. Trzeba było jeździć poza godzinami pracy, zdrowie marnować.

— Dokumentacja tego waszego zaangażowania nie potwierdza.

— Dziennik był przecież, a jakieś uchybienia — normalna sprawa. Teraz tak się zastrza. Dokumentacja była przedkładana przez instruktorów, nie było czasu jeździć, sprawdzać, jak w rzeczywistości wyglądało. Ja podpisywałem dopiero wtedy, gdy szło do naczelnika.

— Jaki był zakres waszych czynności?

— W służbie rolnej pracowało nas siedem osób. Zakresu obowiązków w sposób jasny nie dało się sformułować. Tych z Marszałkowskiej ja wpisałem na kurs, bo kurs to jeszcze nie dyplom. Nikomu miejsca nie zajęli, bo rolnicy wyrażają chęć szkolenia dopiero wówczas, jak przejmują gospodarstwo.

— Jak się układała współpraca z naczelnikiem?

— Pytanie nieciekawe. Nie jest z zawodu rolnikiem, więc większość spraw spadała na mnie.

Borys: — Mam tu zarzut, że przyjąłem na kurs prezesa Spółdzielni Mieszkaniowej, ale miał zaświadczenie, że jest rolnikiem ze Zbójnej, a i naczelnik mnie poprosił, żebym go przyjął. Niejasne u mnie jest to pobranie 587 złotych. Może tak wyglądać, że sfałszowałem delegację, bo jeszcze pakałem jedzie, a już kurs prowadzi. Ale ja się przyznam: jechałem własnym motorem, a z pakaesu się rozliczałem.

Gawrych: — Był bałagan w dokumentacji, w rejestrach, owszem, ale podania trafiały nie do mnie, tylko do instruktora do spraw budownictwa; stamtąd powinny przechodzić do komisji przy naczelniku. Niczego więc nie podpisywałem, ale od winy się nie uchylam, szczególnie jako pierwszy sekretarz POP, który powinien pilnować ludzi i właściwej pracy urzędu.

Kozłowski: — Łatwo teraz osądzać, ale była tu, niestety, dobra robota. Były dni chwały. Tak jak się należało. Te 60 osób przyjęło się do partii. Ale jak zaczęło się gryzienie między sobą, patrzyłem, obwąchiwałem — my stąd, a ty z Łomży, chcemy swoich — już nie było tak, jak trzeba. Ja przed Kamińskim byłem kierownikiem służby rolnej. Tyrałem, kursy organizowałem często za frajer, niestety, nie brałem pieniędzy. Często nie nocowałem w domu. Po prostu gościłem w domu byłem. A teraz mi się tu wyciąga takie różne rzeczy. Ja sobie nie jestem w stanie przypomnieć, może gdzieś pomyliłem te daty. Nie dopuszczam tego sobie wcale, żebym świadomie źle robił. Ja nie wiem, jak to nastąpiło. U mnie się daty

dublowały i u kolegów, bo tyle roboty na głowie. Nikt na bieżąco tego nie prowadził. To nie jest lekki chleb, ten instruktorski. Kto dziś błędów nie robi?! Brałem mieszkaniowe, choć dom w Łomży. Ale tu w Zbójnej się spało. Nie widzę, żeby to było jakieś wyludzenie czy coś takiego.

— Wasz autorytet we wsiach nie jest najlepszy...

— Ludzie byli celowo nastawieni. I stąd to oskarżenie mnie. Dzieciarni naściągali, krzyczeli, gromada rozwścieczonych głupców, że buhaje na lewo rozpisywałem, że dotacje... Wcześniej ostrzegali mnie: ty nie kichaj, nie brykaj, bo za tydzień, za dwa cię karnie przeniesiemy.

To już ostatnie wejście na przesłuchanie, przyjęte z największym niesmakiem.

— Największy sprawiedliwy się znalazł — komentuje któregoś z członków Komisji — jak się poczuł zagrożony, wywołał całą sprawę. Obciążył winą wszystkich, tylko nie siebie. A mówią we wsiach, że Kozłowski nic darmo nie robi. Nawet słowo kosztowało 20—30 złotych. A teraz stroi się w piórka społecznika.

— Ja tu muszę coś dodać — wtrąca Witold Miłowski, I sekretarz KG. — Jak się Kozłowski zorientował, że i jego badają, przyszedł do mnie, do Komitetu, i mówi: „Ja jestem członkiem partii, a wy mnie nie brońcie, chcecie się mnie tendencyjnie pozbyć”!



GINĄCE PROFESJE

Na drzwiach warsztatu, za szybą, która wszystkie szepietowskie kurze pamięta, widnieje tabliczka: „Zakład czynny od godz. 8.00 do 1.00”. Interesanci rozumieją, że chodzi o godzinę trzynastą. Jeśli ktoś spóźni się i zapuka do domu, Wacław Wierzbicki otworzy drzwi i, jak dawniej, nie odmówił pomocy.

— Zaraz po wojnie, gdy do Szepietowa zajął demokracja — powiada 75-letni Wacław Wierzbicki — znajomi wręcz siłą wypychali mnie do urzędu. Mówili: „Masz siedem przedwojennych klas, możesz zostać świetnym urzędnikiem. Z trzema, czterema przyjmują”. Może i źle zrobiłem, że zostałem przy swoim rzemiośle. Ci, co poszli do urzędu, mają teraz wille, samochody, a nie powiem, aby byli mądrzejsi ode mnie. Ja mieszkam w tym samym drewnianym domku, który kupiłem sobie jeszcze przed wojną.

Zanim przyszedłem do Szepietowa, zwiedziłem kawał świata. Pochodzę z Suchowoli w województwie lubelskim. Tam ukończyłem szkołę powszechną i trzy lata terminowałem. Na pewno nie byłbym rymarzem, gdybym miał gdzie pójść do pracy. Wąs mi się sypał, żenidło rosnęło, więc i o własnym groszu musiałem myśleć. Najłatwiej mogłem dostać się do rymarza. Był znajomym rodziców. Z początku miałem wstręt i do skór, i do pomiaru koni, i do samego siebie; ciągle żyłem w pocie i brudzie. Później przestało mnie to denerwować, bo zarobiony grosz stawał przecież na nogi. Liczyłem się w rodzinie i we wsi. Mój apetyt na pieniądze rósł jednak bardzo szybko. Wkrótce porzuciłem Suchowolę, bo dojrzałem większy zarobek w Warszawie. Znalazłem ogłoszenie, że właściciel wykupywał całą akcję na robienie uprzęży dla pułku kawalerii. Pięć tysięcy siodła. To była robota! Od rymarza zależał wygląd wojska! Wprawdzie stare siodlarzskie porzekadło głosi: „W kaftan bawełna, a w chomąto słoma”, to jednak szły na ten cel najlepsze skóry. Strzemię, siodła, kantary — wszystko musiało lśnić. Zapłata też była ładna. Nigdzie by człowiek tyle nie zarobił, chyba że marny trafił się właściciel.

A bywali różni: jeden dzielił sprawiedliwie, drugi dbał tylko o własną kieszeń. Rymarze buntowali się, grozili odejściem, wtedy właściciel podnosił płacę albo wyrzucał z pracy i przyjmował nowych. Najgorzej było zdrzeć z Żydem. Nigdy nie przeszkadzał w odejściu, ale potem nikt z jego znajomych, nie przyjął do pracy takiego rymarza. A wtedy, wiadomo, oni rządzą prawie całym rzemiosłem.

Mnie w Warszawie różnie się układało. Lubiłem to miasto, lecz nie aż tak, aby w nim pozostać. Zaczęłam marzyć o pracy stałej, płatnej i wygodnej. Rozglądałem się też za kandydatką na żonę. Warszawianki lubiłem. Podziwiałem ich urodę i humor oraz wielkomiejski styl życia. Żadnej nie mogłem sobie wyobrazić jako żony rymarza. Skóry, koński zapaszek, sierść — wszystko to musiało odstraszać. Myślałem: „Musisz, Wacek, morową dziewczynę znaleźć na wsi”. Wiedziałem, że gdy gdzieś wyjadę na dłużej, to taka wprawdzie chomąta za mnie nie zrobi, ale może nawet konia wymierzyć i zadatek od chłopca przyjąć.

Otrzymałem propozycję pracy w majątku, w Szepietowie Wawrzyńcach. Słyszałem, że dziedzic bardzo lubi konie. Był to wystarczający argument, aby i rymarzowi wiodło się u niego nieźle. Przystałem. Płacił mi pięć—sześć złotych dziennie. Dawał śniadanie, obiad, podwieczorek i koloację. Roboty było sporo, bo koni miał niemało. Wykonywałem przeważnie reperację uprzęży.

Cieszyłem się z zarobków. Odczuwałem przez kieszeń, że z każdym dniem moja rymarska dola się poprawia. Złożyłem rodzinę, kupiłem rower i dom drewniany na podmurówce, wówczas jeden z największych w Szepietowie. Ściągnąłem narzędzia do własnego warsztatu. Trudniejsze dokupiłem, prostsze wykonałem sam. Uruchomienie włas-

nego warsztatu pozwalało mi brać niektóre prace do domu. Nieraz udało mi się nawet dorobić drugą pensję.

Ale niedługo cieszyłem się takimi zarobkami. Wybuchła wojna. Rosjanie zrobili w majątku kołchoz. Nie powiem, przy nich mogłem jeszcze jakoś żyć. Jednak gospodarstwu zabrakło człowieka, który by lubił konie i dbał o uprzęż. Nie spodziewałem się wówczas, że mogą nadejść jeszcze gorsze czasy.

Niemcy nie dali mi zarobić, chociaż lubili konie i przejażdżki. O środkach do życia musiałem myśleć sam, bo płacili mi dosłownie grosze. Dobrze, że przed wojną zapewniłem sobie dom i kawałek własnego ogródka. Przydał mi się też mój przydomowy warsztat. Naprawiałem chłopom uprzęż, a oni odwiedzali mnie — każdy na swój sposób. Musiałem jednak uważać, by nie wzbudzić podejrzeń Niemców. Szepietowo mieli w szczególnej opiece, przede wszystkim ze

Sto lat temu rymarstwo zaliczało się do pierwszej grupy rzemiosł, obok szewstwa, krawiectwa, powroźnictwa, stolarki, piekarnictwa i kowalstwa. W guberni Łomżyńskiej zarejestrowanych było blisko 80 rymarzy: 54 majstrów, 6 czeladników, prawie 20 uczniów. Nietrudno z tego wywnioskować, że na jedną gminę przypadało ich 6—7. Obecnie zostało 16 w całym województwie. W Szepietowie jestem samiuteńki. W innych gminach nie inaczej. Marian Bieńkowski, Marian Bujnowski, Piotr Buczkowski są w Zambrowie, Stanisław Baranowski robi w Drozdowie, Józef Strumieński — w Sniadowie, Wacław Sadowski — w Stawiskach. W Jedwabnem wykonuje chomąta Jakub Cytrynowicz i jego zięć, Józef Żylak.

Kiedyś rymarze mieszkali też w miastach. Każdy dziedzic, mimo że miał swego nadwornego rymarza, nową uprzęż kupował w mieście. Teraz, na przykład w Warszawie, tylko kaletnictwo się szerzy. Sklepow powroźniczych, czy rymarskich prawie nie ma. Nastąpiła moda na

marza. Miałem stałych klientów i ja. Dziś nie mogę już dużo robić; ręce mi się trzęsą, zdrowia coraz mniej. Lecz jeszcze jedno chomąto na tydzień wydłubię. Narobiłem ich w swoim życiu dosyć. Gdyby policyzować, że co tydzień jedno, to w ciągu roku — 52. Teraz trzeba je pomnożyć przez 50 lat! A były takie tygodnie, w których wychodziło z mojego warsztatu i pięć chomąt. Miałem wtedy trzech—czterech uczniów. Ja mierzyłem, przyjmowałem zamówienia, kierowałem całą robotą. Teraz, na starość, sam pozostaję na całą gminę. Moi starzy klienci nie przestrzegają administracyjnych granic: przyjeżdżają do mnie i spod Ciechanowca, i spod Czyżewa, i z Wysokiego Mazowieckiego.

Właśnie dzisiaj naprawiam chomąto sołtysowi ze wsi Moczydły-Stanisławowięta. Kupił na rynku i pojechał w sumie dwa dni. Kleszcze poszły. Ja mam swoich stelmachów. To są tacy chłoporzemieślnicy. Gdy im ziemia słabiej obrodzi, to wycinają w lesie brzozy i robią kleszcze. Lecz ja biorę tylko od ziemi i z brzozy samorodnie wygiętej. Płacę im więcej, niż mogą dostać na rynku, ale i towar dostaje pierwszorzędnym.

Dzisiaj człowiek nie może obronić się przed bublami. Już ja mówiłem dawno, że przemysł zgubi nasze dobre rzemiosło. I to jest prawda. Kiedyś liczyła się robota ręczna. Teraz patrzy się tylko na to, aby to było świeżące i nowoczesne. Zatracamy w ten sposób smak przedmiotu i jego piękną oryginalność. Wszystko jest takie same — wykonane ze sztancy i na tempo.

Na poduszeckę do chomąta idzie 30—40 centymetrów skóry. Sam surowiec kosztuje 80—100 złotych. Daję swoje płótno, sierść i biorę łącznie z robocizną 350 złotych. Spółdzielnia sprzedaje takie same poduszki po 450 złotych, i to tylko w Lubelskiem, bo tam szczególnie brakuje rymarzy. Za przeróbkę biorę przeważnie 150 złotych. Na dzisiejsze warunki — to są grosze, a nadłubać się trzeba, bo skóra gruba, twarda. Kiedyś i ja wywoziłem uprzęż w obce strony. Lubiłem życie szybkie, wędrowanie ze wsi do miasta i odwrotnie. Teraz muszę pogodzić się z emeryturą. Trudno byłoby mi z niej żyć, gdybym nie dorabiał jeszcze na pół etatu.

Znajomi powiadają, że moje rzemiosło postarzało się razem ze mną. Jest to prawda. Młodzi nie chcą być rymarzami. Mój ostatni uczeń kupił samochód i jest taksówkarzem w Brańsku. Więcej wyciąga na miesiąc niż niejeden rzemieślnik. Ciężkie nastały dla rzemiosła czasy. Niby warunki lepsze, lecz w kieszeni coraz mniej. A z towarami jakie są kłopoty. Tu już nie chodzi o najlepszy gatunek skóry: jucht, blank czy bukat. Rymarze uganiają się za skórą jakąkolwiek. Mnie, staremu fachmanowi, na remonty wystarczy tyle, ile przydzielą. Ale młodszym ode mnie z rymarstwa żyć trudno.

Zwykło się mówić, że rzemiosło umiera. Ja tam się z tym nie zgadzam. Ginie dbałość o nie. To jest tak samo, jak z człowiekiem. Nie da mu się jeść, zarygluje w jakiej szopie, to i szybko kona. Żeby pan wiedział, ile dziś rymarz dostaje skóry! Śmiech pomyśleć. Jak potrzeba mu 1500—1800 kilogramów, to otrzymuje 30—40. I z czego tu się rozwijać? A opłacić jeszcze podatki, pomocników?

Przed kilkoma latami było jeszcze możliwe. Po skórę taki — na przykład — Cytrynowicz jeździł na Śląsk, robił na giełdzie zakup całoroczny i mógł wykonywać tyle chomąt, ile tylko chciał. Teraz centrala w Łodzi rozprowadza towar. Krają wieści, że władze stworzą lepsze warunki dla rozwoju rzemiosła. Ale przedzej mi na dłoni kaktus wyrosło, bo już tyle lat słyszę te słowa. Dotychczas najlepiej rozwijają się podatki. Panie, temu kto wydał przepis, że rymarzowi nie wolno skóry kupić ani wygarbować, należałoby zdrowo wygarbować plecy!

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Fot. GABOR LÖRINCZY

dla rymarza



ze wsi żona

względem na stację. Tu ładowali do pociągów zboże, Żydów oraz to wszystko, co zrabowali. W każdym majątku rządził ich człowiek. Chłopi płacili wysoki haracz, mieli więc Niemcy czym wypychać wagony. A gdy szły transporty Żydów, to kolej tak z obu stron obstawili, że nawet mysz się nie prześlizgnęła.

Pamiętam, jak powiadał mój majster: „Rymarstwo przyszło do nas z Niemiec bardzo wcześnie — w XIII wieku. Wojów Łokietka zaopatrywali w uprzęż już polscy rymarze”. Wielu też było wówczas rzemieślników niemieckich. Z czasem dopracowaliśmy się własnego chomąta, tzw. krakowskiego. Jego nazwa pochodzi od miasta, w którym rymarstwo rozwijało się najszybciej. W XVI w. było w Krakowie 44 warsztaty rymarskie, w Poznaniu 32, w Kościanie 19. Łomżyński cech skórników powstał w roku 1478. W 1593 król Zygmunt zrównał go w prawach z cechami Krakowa, Poznania i Warszawy.

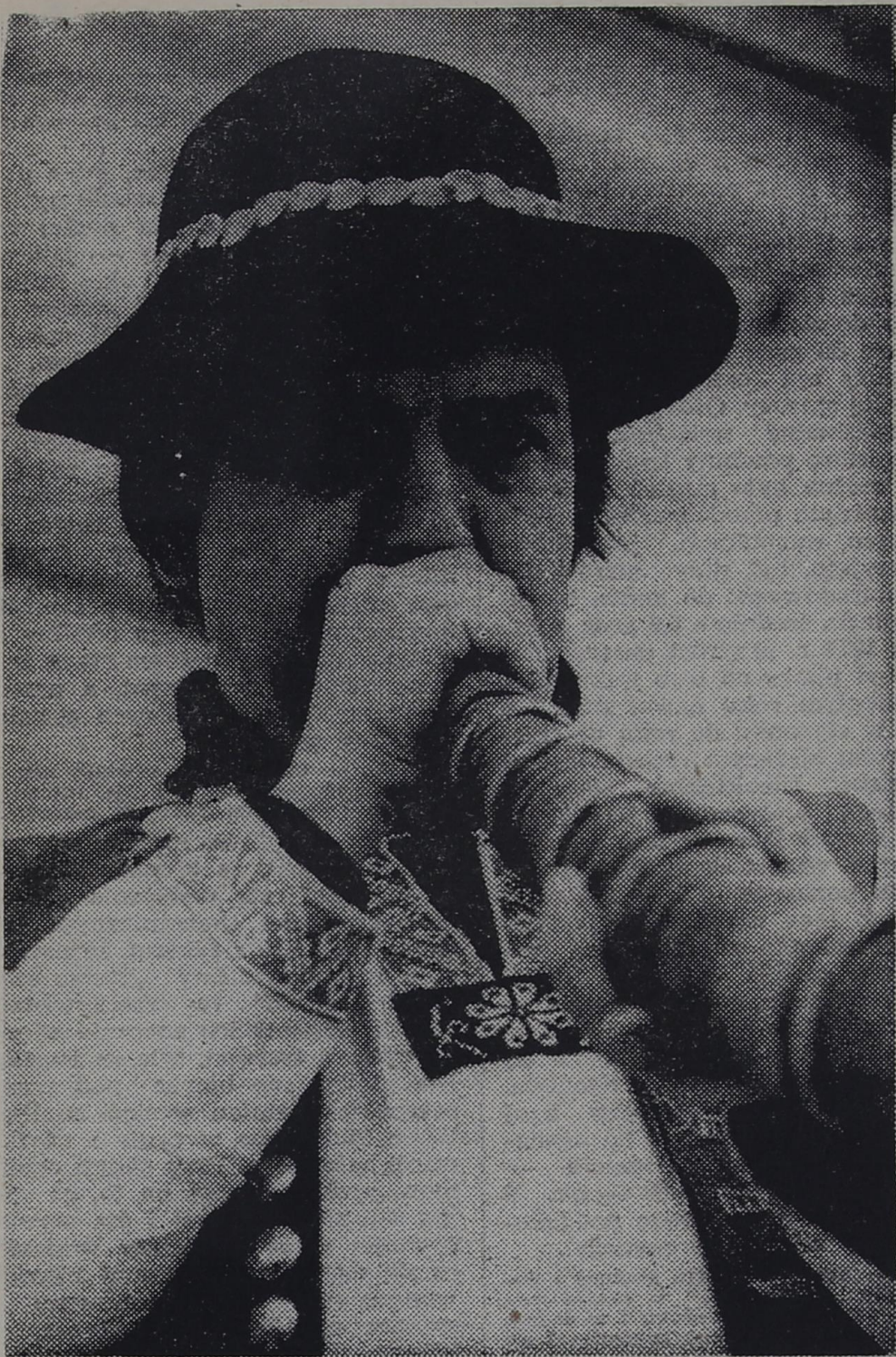
piękne, robione z grubej skóry, torebki damskie. Rzemyski służą jako wisiorki.

Do kompletu uprzęży wchodzi pas przekonny, zwany lejcem, targaniec, zwany popręczką, podogonie, paski do obli. Rymarz musi brać dokładną miarę jak krawiec. Niedopasowana uprzęż ociera i rani. Zwierzę cierpi i jest narażone na zakażenie.

Chomąto było zawsze podstawą gospodarstwa i wyrazem jego możliwości. Przed wojną nawet taki gospodarz, który jadąc na jarmark słomę w zębach trzymał, niby że mięso z nich wydłubił, miał dla swoich koni po dwie—trzy pary uprzęży świątecznej i roboczej, niekiedy nawet francuskiej czy angielskiej; najczęściej jednak krakowskiej. W okolicach Białegostoku i dalej, na wschód, popularne są sory i chomąty ruskie.

Kto je kupił na rynku — mógł się oszukać. Każdy mądry chłop nową uprzęż zamawiał u swojego ry-



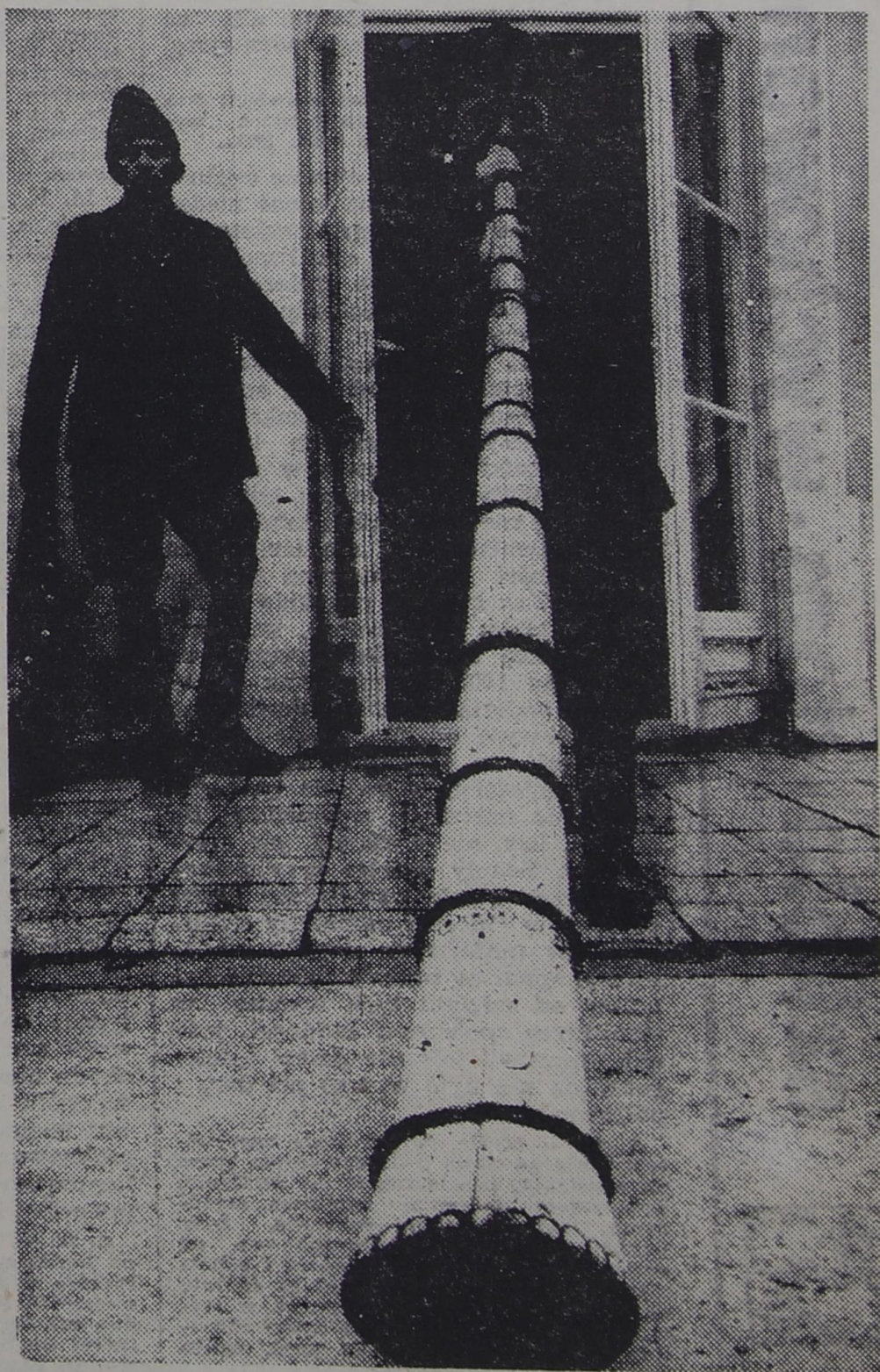


skąd w tym dziecku tyle tchu

Tym razem pogoda nie była sprzymierzeńcem uczestników I Ogólnopolskiego Turnieju Ligaw w Ciechanowcu. Siąpiący bez przerwy deszcz skutecznie rozmięczył instrumenty, uniemożliwiając uczestnikom wydobyć pełnych tonów. Bo — jak sami mówili, najlepiej niesie głos zamaznięte drzewo. Przeto czystych i doniosłych dźwięków było jak na lekarstwo. Ale jurorom, schowanym za pałacem (by nie znali nazwisk grających), udało się wytypować z 26 trzech najlepszych, którzy przystąpili do konkursu. Licznie zebrani pod tarasem słuchacze burzliwymi oklaskami przyjęli zwycięstwo Wiesława Fulczyka ze wsi Trojanówek (gmina Klu-kowo). Nie mniej braw otrzymali góral Czesław Węglorz z Beskidu Żywieckiego oraz Józef Niemyjski z Ciechanow-ca. Dzieci godnie reprezentowała Teresa Łepicka, która od kilku lat jest bezkonkurencyjna. „Skąd w tym dziecku tyle tchu” — dziwowali się ludzie.

By impreza była rzeczywiście ogólnopolska, zabrakło je-dynie artystów z Kaszub. W przyszłym roku — jak nam powiedział dyrektor Muzeum, Kazimierz Uszyński — orga-nizatorzy postarają się o ich udział. Patronat nad turnie-jem objął „Dziennik Ludowy”, co niewątpliwie wzmocniło gatunkowo i finansowo tę pożyteczną ze wszech miar ini-cjatywę miejscowych działaczy.

**tekst i zdjęcia:
GABOR LÖRINCZY**





ALICJA BASTA: — Pozwoli Pan, Profesorze, że odwołam się do cytatu z naszej rozmowy, która została opublikowana pięć lat temu. Mówiliśmy wówczas o przeprowadzonej przebudowie sieci szkolnej na wsi i przygotowaniu do reformy całego systemu edukacji narodowej. Powiedział Pan wtedy: „Jeśli uda się zreorganizować gminne szkoły zbiorcze w optymalnym wariantcie, będzie to duża sprawa. Można będzie bowiem oczekiwać z uzasadnionymi nadziejami na zlikwidowanie barier awansu przez wykształcenie.” Tymczasem dzisiaj mówi Pan otwarcie o konieczności zawieszenia reformy na czas nieokreślony. Dlaczego zmienił Pan poglądy?

MIKOŁAJ KOZAKIEWICZ: — Nie zmieniłem poglądu na wartość i celowość organizowania gminnych szkół zbiorczych! Wystąpiłem natomiast przeciw 10-latec w jej proponowanej formie i w istniejącej sytuacji ekonomicznej naszego kraju. Zanim odpowiem na to pytanie, należałoby wyjaśnić, dlaczego byłem i jestem przekonany, że reforma, choć nie taka, jaką proponowało Ministerstwo, jest konieczna. Otóż wieloletnie badania doprowadziły mnie do przekonania, że w Polsce istnieją różnego rodzaju bariery oświatowe, upośledzające część każdego rocznika młodzieży. Choć nasze programy nauczania podstawowego są jednakowe dla wszystkich, otrzymywane wykształcenie było i jest nadal wysoce niejednolite już na podstawowym szczeblu. Nie zmienia tego faktu przedłużająca się liczba lat, jakie każdy Polak musi obowiązkowo spędzić w szkole. U nas obowiązek szkolny trwa akurat długo — w całym kraju do 16 roku życia, w niektórych rejonach, np. Warszawie, Płocku czy Wrocławiu, nawet do 18 roku — ale niejednolitość poziomu nauczania w szkołach, obciążenia kulturowe środowiska domowego, bariery przestrzenne i ekonomiczne sprawiają, że nie każdy młody Polak opuszczający szkołę podstawową ma jednakowe szanse dalszego kształcenia się, co z kolei decyduje o jego późniejszej drodze zawodowej.

A. B.: — Tym sprawom poświęcił Pan książkę „Bariera awansu poprzez wykształcenie”, wydaną w roku 1973...

M. K.: — ...czyli w okresie ogólnonarodowej dyskusji na temat niedostatku naszej oświaty. Pisałem w niej, że rozwój całej cywilizacji europejskiej w ostatnim stuleciu charakteryzował się, między innymi, stałym przedłużaniem czasu wykształcenia ludzi, niezależnie od ich zawodu, płci, pochodzenia społecznego i narodowości. Jednakże w poszczególnych kategoriach ludności wskaźniki te rosły w różnym tempie. Widać to wyraźnie, gdy analizuje się nie wskaźniki globalne, na ogół optymistyczne, ale zacierające nierówności i wewnętrzne dysproporcje. Tak było na przykład z rosnącym stale, choć wolno, wskaźnikiem liczby studentów wyższych uczelni na 1000 mieszkańców Polski oraz z wahającym się wskaźnikiem procentowym udziału młodzieży robotniczej na wyższych uczelniach. Stan istniejący, w świetle tych danych, nie nastrojał wprawdzie do euforii, lecz nie wydawał się alarmujący. Szkoły wyższe przyjmowały bowiem ciągle wzrastającą liczbę studentów. Odsetek młodzieży chłopskiej (w mniejszym stopniu robotniczej) spadł co prawda powoli i był niższy od udziału tych warstw w strukturze społecznej ludności, jednak uprzywilejowanie dzieci inteligentnych nie było wyższe niż dwu i półkrotnie.

A. B.: — Myślę, że już takie uprzywilejowanie powinno być dawać nie tylko do myślenia, lecz skłaniać do działania. Tymczasem jedynym środkiem zaradczym, jaki znaleziono wówczas, były punkty preferencyjne, przyznawane na egzaminach wstępnych chłopom i robotnikom. Jak nieskuteczny był to środek, okazało się niebawem, zwłaszcza w stosunku do chłopów. Obecnie dzieci chłopskie stanowią zaledwie 0,2 proc. ogółu studiujących stacjonarnie.

M. K.: — Już wówczas, w roku 1971, głębsza analiza GUS-u, która odniosła wskaźnik studentów nie do ogółu społeczeństwa, lecz tylko do młodzieży w wieku studenckim, czyli 18—24 lat, wykazała, że upośledzenie młodzieży wiejskiej w stosunku do miejskiej jest przeciętnie ponad czterokrotne. Zachodziły dodatkowe dysproporcje geograficzne. W województwie koszalińskim, w granicach sprzed reformy administracyjnej oczywiście, to upośledzenie było aż siedmiokrotne, w bydgoskim niemal sześciokrotne, ale w katowickim mniej niż dwukrotne. W stosunku do młodzieży inteligentkiej z miast to upośledzenie było naturalnie odpowiednio wyższe. Zmierzam do tego, że na podstawie samych tylko danych statystycznych, lecz traktowanych właściwie, można było wyrobić sobie opinię, że polski system oświatowy spełniał wówczas głównie, jeśli nie wyłącznie, funkcję selekcji negatywnej — odsiewał i nie dopuszczał do dalszego kształcenia uczniów o pewnych cechach osobniczych bądź społecznych. Tymczasem w interesie społecznym, w interesie całego narodu powinno być wyszukiwanie wszelkich zdolności i talentów, umożliwienie każdemu z nich pełnego rozwoju i pełnego ich wykorzystania.

A. B.: — W tamtym właśnie okresie zrodziło się wyrażenie „sito gubi diamenty”, określające doskonale tę negatywnie selektywną rolę szkoły. Etapem dyskusji, który ogromnie rozbudził nadzieje społeczne, było powołanie Komitetu Ekspertów, w którym Pan Profesor uczestniczył, a następnie ogłoszenie jego „Raportu” i publiczne ustosunkowanie się do niego w skali bezprecedensowo-masowej. Jak pamiętam — około ćwierć miliona osób wypowiadało się na ten temat.

M. K.: — Wydawało się wówczas, że istnieją realne możliwości zmian: usunięcia dysproporcji i przekształcenia systemu szkolnego w narzędzie selekcji pozytywnej. Ale każdy z nas wie, co się działo, jak pogarszały się warunki rozwoju kraju w ciągu lat, które minęły od uchwały sejmowej o reformie systemu edukacji narodowej z października 1973 roku. Karygodnym błędem byłoby nie wyciągnięcie z tego wniosków. Romantyczna zasada „mierzyć siły na zamiary, a nie zamiary na siły” nie nadaje się bowiem do sterowania rozwojem społeczno-gospodarczym kraju. Udało mi się tę opinię opublikować w pismach ogólnie dostępnych, m.in. w „Trybunie Ludu”, jeszcze przed wydarzeniami tego rocznego lata. Powtarzałem ją potem wielokrotnie w opracowaniach skierowanych do władz, w wystąpieniach słownych. To jest moja odpowiedź na pierwsze Pani pytanie.

A. B.: — Nie przedstawił nam Pan jednak, Profesorze, dokładniejszych argumentów, przemawiających za podjęciem takiej decyzji. Dodam, że minister Krzysztof Kruszewski, kierujący od kilku miesięcy resortem oświaty i wychowania, ogłosił po raz wtóry dyskusję nad reformą, a właściwie nad jej dalszymi losami. Pana argumenty byłyby ważkim głosem w tej dyskusji.

M. K.: — Minister zna moje stanowisko, gdyż wyrażałem je już, jak mówiłem, również osobiście wobec ministra. Jako członek zespołu powołanego pod kierunkiem prof. Bogdana Suchodolskiego przez „Komitet: Polska 2000”, działający przy Polskiej Akademii Nauk, uczestniczyłem w przygotowaniu ekspertyzy na temat 10-latki. Na podstawie danych z Ministerstwa Oświaty i Wychowania — a dane każdego ministerstwa na świecie są bardziej optymistyczne od rzeczywistości — wyliczyliśmy, że w roku 1977 jedynie od 18 do 31 proc. istniejących wówczas gminnych szkół zbiorczych posiadało właściwe warunki lokalowe. O innych warunkach na razie nie mówię. Proszę zwrócić uwagę na te liczby, proszę pamiętać przy tym, że kryje się za nimi spora liczba szkół znajdujących się w miastach, które po reformie administracji stały się siedzibami gmin. Gdybyśmy wzięli pod uwagę jedynie szkoły ulokowane na wsi, obraz byłby znacznie ciemniejszy. Nie sądzę przy tym, by cokolwiek zmieniło się na lepsze od roku 1977, gdyż w ostatnich latach odbywał się dramatyczny spadek inwestycji oświatowych zarówno w stosunku do dochodu narodowego, jak i w stosunku do ogółu inwestycji. Co gorsza, nawet te malejące inwestycje nie były realizowane. W ostatnich latach wykonywano zaledwie 70 proc. planów inwestycyjnych w oświacie.

A. B.: — Inaczej mówiąc, pozwalało to na budowanie zaledwie kilkunastu szkół rocznie w kraju, czyli nie każde nawet województwo mogło wzbogacić się o jedną szkołę w każdym roku. W łomżyńskim np. oddano do użytku szkołę — w Małym Płocku, gdzie odbyła się central-

na inauguracja ubiegłego roku szkolnego; obecnie buduje się szkołę w Grabowie. A jest to województwo, którego potrzeby są wyjątkowo duże, gdyż w poprzednich latach także nie było ono pod tym względem rozpieszczane.

M. K.: — Ministerstwo ocenia, że tylko dla potrzeb ośmiolatki należy wybudować bądź poważnie rozbudować 1100—1300 szkół. Przy dotychczasowym tempie potrzeba by było wielu dziesięcioleci, by wznieść niezbędną ich liczbę. Aby wyjaśnić, jak do tego doszło, konieczne jest cofnięcie się do prac Komitetu Ekspertów, który był ostatecznie początkiem całej sprawy. Otóż Komitet obliczył niezbędne wskaźniki ekonomiczne, które powinny być spełnione, by można było myśleć realnie o tak poważnym przedsięwzięciu. Podstawowym warunkiem, jaki wówczas przyjęto, był stały wzrost dochodu narodowego: do końca bieżącego stulecia średnio o 6,6 proc. rocznie. Od 1977 r. przyrost naszego dochodu był niższy od tego wskaźnika, a w ubiegłym roku nawet zmalał o 2 proc. w stosunku do roku ubiegłego. W roku bieżącym recesja jeszcze się pogłębi. Nieaktualne stały się wobec tego i wytyczne na VIII Zjazd PZPR, zakładające na nadchodzącą pięciolatkę wzrost dochodu narodowego na poziomie 2,8 — 3,6 proc. rocznie. Z tego wnioskiem, że podstawowa przesłanka ekonomiczna reformy nie została spełniona, czyli że nas po prostu nie stać na reformę. Drugim warunkiem wówczas przyjętym był udział wydatków na oświatę w podziale tego dochodu. Według Komitetu Ekspertów kraj powinien był przeznaczać na oświatę w trakcie jej reformowania — a więc w latach 1976—83 — ok. 6 proc. dochodu narodowego podzielnego, który miał stale wzrastać.

A. B.: — Spełnienia tego warunku domagała się „Solidarność” w czasie niedawnych rozmów w Gdańsku i w podpisanym porozumieniu rząd zobowiązał się go zrealizować.

M. K.: — Tak, chociaż to nie zmienia faktu, iż w liczbach bezwzględnych te sumy będą niższe od potrzebnych z powodu obniżonego dochodu narodowego oraz wysokiej inflacji. W dodatku w ostatnich latach narosły duże zaległości, gdyż od roku 1974 fundusze przeznaczone na oświatę były znacznie niższe od

poziomu wyliczonego przez Komitet Ekspertów.

A. B.: — Panie Profesorze, ale dla potrzeb szkoły dziesięcioletniej należałoby zbudować więcej szkół niż podawał Pan na początku.

M. K.: — Oczywiście, gdyż należałoby zatrzymać w szkole ogólnokształcącej o dwa lata dłużej cały rocznik, co oznaczałoby — jak wyliczano — stworzenie ok. miliona dwustu tysięcy nowych miejsc dla uczniów. W rzeczywistości zaś te liczby byłyby znacznie wyższe, ze względu na wyższą ilość urodzeń w latach 1970—78; o ile w latach wcześniejszych rodziło się nie więcej niż 550 tysięcy dzieci w ciągu roku, to od 1975 r. roczniki są 100—130 tysięcy osób liczniejsze. A zatem nie milion dwieście tysięcy nowych miejsc należałoby przygotować, ale dwa miliony. Tak wysoki poziom budownictwa oświatowego odbiłby się nieuchronnie na budownictwie mieszkaniowym i socjalnym, a pewnie i przemysłowym, których sytuacja jest i bez tego zła.

A. B.: — Czy jednak oświata nie ma (użyte wyświechtane i nie lubiane ostatnio wyrażenia) żadnych rezerw?

M. K.: — Byłbym nieuczciwy, gdybym twierdził, że kłopoty lokalowe szkół wiążą się wyłącznie z obecnym kryzysem ekonomicznym. One wiążą się także z faktem, że poprzednio wybudowaliśmy „tysiąc szkół na Tysiąclecie” (w rzeczywistości wybudowaliśmy ich znacznie więcej, ok. półtora tysiąca), tyle że zupełnie bez głowy, nie biorąc pod uwagę perspektyw, zmian w sieci szkolnej. Wiele budynków wypadło z użytkowania szkolnego. Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę na to, co nie jest obojętne dla wsi i dla wyrównywania szans młodzieży wiejskiej: co się dzieje z budynkami likwidowanych szkół. Byłem niedawno na sympozjum UNESCO w Hadze, na którym i ten problem był dyskutowany. Okazało się, że Holendrzy zostawiają we wsiach szkoły, dla klas I—IV, w których uczy się 15—20 uczniów a nawet mniej, bo doceniają kulturową rolę tych placówek.

A. B.: — Dlatego i u nas był taki opór mieszkańców wsi przed likwidowaniem szkół, będących często jedynymi placówkami kulturalnymi miejscowości.

Z PROF. DR. HAB. MIKOŁAJEM
KOZAKIEWICZEM ROZMAWIA ALICJA BASTA

dziesięć



eci w latce

M. K.: — Wobec przytoczonych wyżej faktów nie mogę twierdzić, że stać nas, jak Holendrów, na utrzymanie w każdej wsi karłowatych szkółek, nie można jednak dopuścić do zmarnowania tej masy budynków, jaką miała na wsi oświata. Nie można pozwolić, aby wioski stawały się „bezkulturowe” będąc „bezszkolnymi”.

A. B.: — Jeszcze przed rozpoczęciem reformy mówiło się, że o jej powodzeniu zadecyduje wieś, gdyż tam potrzeby były największe, a zatem i oczekiwania ogromne. Teraz okazuje się, że i w wielkich miastach mogą pojawiać się nie mniejsze kłopoty, zwłaszcza w nowych, dużych osiedlach. W stolicy dowodzi się, na przykład, dzieci do szkół na wsi, ponieważ w mieście nie zbudowano dostatecznej liczby placówek.

M. K.: — Ciągłe jednak wieś jest najpoważniejszym problemem. Chodzi bowiem o podniesienie poziomu pracy dotychczasowych szkół, co związane jest m.in. z zapewnieniem im dobrych nauczycieli. Chodzi także o zorganizowanie uczniom dobrego dowożenia, czym w zasadzie nie potrzebuje martwić się miasto, gdyż szkoły są tam rzeczywiście „blisko ucznia”. Poza tym wieś ma więcej dzieci żyjących w rozproszeniu, gdyż wiejskie rodziny są dietniejsze. Spośród trojga polskich dzieci dwoje jest ze wsi. Cała Europa, cały świat rozwinęły dowodzi dzieci wiejskie do szkół. Hasło „Szkoła bliżej ucznia”, którym kierowano się przy budowie tysiącleci, było anachroniczne, XIX-wieczne, sprzyjało tworzeniu karłowatych szkółek, źle wyposażonych, bo nas nie było stać na lepsze, a poziom ich nauczycieli też wiele pozostawiał do życzenia. Tamte hasła trzeba zastąpić innym: „Uczeń bliżej szkoły”, gdyż obecny poziom techniki czyni rzeczą zupełnie normalną łatwą, szybkie i bezpieczne dowożenie dziecka do szkoły.

A. B.: — Poziom, tak, ale stan naszej komunikacji, niestety, nie.

M. K.: — Toteż uważam za bezsensowne obarczanie Państwowej Komunikacji Samochodowej dowożeniem uczniów. Nawet przy znacznym lepszym wyposażeniu technicznym, nawet wówczas, gdy uda się jej zatrudnić dobrych kierowców i tylu, ilu potrzebuje, nie będzie dostosowywać się do potrzeb szkół, lecz szkoły będą musiały dostosowywać się do jej rozkładów jazdy, a to jest po prostu nieporozumieniem. Nie będzie wówczas mowy o żadnej pracy pozalekcyjnej dla dojeżdżających, utrudni się kontakt z rodzicami, będą się zdarzać także, jak obecnie, wielogodzinne oczekiwania na późne kursy autobusów.

A. B.: — Czy z tego należy wnioskować, że szkoły powinny dysponować własnymi autobusami?

M. K.: — Nie szkoły! Wówczas dyrektor będzie jeździł po najbliższych miastach za częściami zamiennymi, za miejscem w warsztacie remontowym, jak dzieje się to obecnie. Dyrektor szkoły nie powinien być przevoźnikiem, gastronomem, budowniczym i nie wiem czym jeszcze. Bo jeśli pogodzimy się z tymi jego funkcjami, to będziemy musieli pogodzić się w konsekwencji i z zaniechaniem nadzoru pedagogicznego, kierowaniem procesem wychowawczym dydaktycznym, do czego dyrektor szkoły jest powołany.

A. B.: — Czy widzi Pan wobec tego inne rozwiązanie?

M. K.: — Powołanie odrębnego Przedsiębiorstwa Przewozów Szkolnych, obsługującego tylko szkoły, tak jak to zrobiono we wszystkich krajach zachodnich. Innego rozwiązania nie widzę.

A. B.: — Panie Profesorze, proponuje, abyśmy na zakończenie zajęli się kadrami dla dziesięciolecia. Jak wiadomo, od kilku lat nauczyciele są zobowiązani do uzupełnienia wykształcenia do poziomu wyższego. Uruchomiono dla nich specjalne studia zaoczne, które ukończyło już kilkadziesiąt osób, co podwyższyło wprawdzie odsetek nauczycieli z wyższym wykształceniem, jednocześnie jednak przyspieszyło odchodzenie najwyższych wykształconych z zawodu. Dotyczy to zwłaszcza mężczyzn, choć nie tylko. Co Pan o tym sądzi?

M. K.: — Rzeczywiście nauczyciele masowo doksztalają się. Spośród pracujących na wsi co piąty ma już obecnie wykształcenie wyższe, jednak badania wykazują, że właśnie więcej nauczycieli wykorzystujących często zdobyte kwalifikacje do ucieczki ze wsi do miast.

A. B.: — Właściwie trudno się dziwić, że niesienie kaganka w lud przestało być dla nich wystarczającą rekompensatą za mieszkanie w wynajmowanych chłopiejskich izbach, najczęściej bez żadnych

wygód, z dala od ośrodków kultury, poza sferą ludzi wykształconych. Cóż może dorosłego, wykształconego człowieka skłonić do pozostania na wsi, jeśli w mieście znajduje pracę, i to najczęściej wyżej wynagradzaną.

M. K.: — Dla lekarzy potrafią jednak znaleźć zachęty. Otrzymują mieszkania przy ośrodkach zdrowia, dodatki do miesięcznej pensji i, od niedawna, 100-tysięczny kredyt, zachęcający do osiedlenia się na wsi. Sądzę, że bez podobnych zachęt trudno myśleć o tym, by naprawdę dobrać nauczycieli zechcieli tam pracować. Bo przecież nie tylko o wykształcenie chodzi, lecz i o specyficzne cechy charakteru. Umilowanie ludzi, głębokie przeżywanie wartości, zdolność przekonywania i porywania są równie ważne w zawodzie nauczycielskim, jak dyplom, a szczególnie duże znaczenie mają na wsi. Wszystkie te cechy stanowią rzadkość i raczej zanikają w ostatnich czasach (czy może zanikały, bo nie były cenione?). Miejmy nadzieję, że ostatni przełom spowoduje głębsze zmiany i w tym względzie. Ponieważ takich wybitnie pozytywnych jednostek jest mało, tym trudniej skłonić je do wybrania trudnego, męczącego i źle płatnego zawodu nauczyciela, w znacznie trudniejszych warunkach wiejskich. Jedynie stworzenie wyraźnych uprzywilejowań moralnych i materialnych (placowych, mieszkaniowych, motoryzacyjnych) może skłonić większą niż dotąd liczbę absolwentów wyższych uczelni do osiedlenia się na wsi i podjęcia pracy nauczyciela wiejskiego. Można by wręcz wprowadzać zasadę pięcioletniego stażu dla młodych nauczycieli. Młode małżeństwa tuż po studiach, mając zapewnione mieszkania i wspomniane przywileje, których by nie miały w mieście, mogły chętnie godzić się na pięć lat pobytu na wsi, choćby w oczekiwaniu na mieszkanie spółdzielcze. Odcinając w tym czasie, w zdrowym środowisku, pierwsze dzieci. A może też się zdarzyć, że przekonają się do życia na wsi i pozostaną tam na długiej bądź na całe życie.

A. B.: — Czy jednak możliwe jest wprowadzenie tych preferencji wobec kryzysu gospodarczego, z którego rozmiarów nie zdawali sobie sprawy nawet ci, którzy dostrzegali go od dawna?

M. K.: — Sądzę, że są one konieczne, jeśli chcemy wyrównać poziom wykształcenia podstawowego. Spiętrzenie trudności jest tak ogromne, że wstrzymanie reformy do lepszych czasów jest, moim zdaniem, jedynym słusznym rozwiązaniem. Powinniśmy się zająć teraz umacnianiem szkół zbiorczych. Nasze badania wykazują bowiem, że wszędzie tam, gdzie były właściwe warunki lokalowe, kadrowe i drogowe, gdzie zorganizowano sprawne dowożenie, szkoły zbiorcze osiągały znacznie lepsze wyniki od małych, źle wyposażonych i źle obsadzonych placówek. Chodzi zatem o to, by dobrych szkół było na wsi przynajmniej 80 proc., a nie 20 proc., jak dotychczas. Można na to przeznaczyć zaoszczędzone nakłady np. na wymianie milionów podręczników. Wymyśle także, że trzeba będzie zwrócić się ponownie, co wcale nie będzie takie proste, do sił społecznych na wsi, do działających tam instytucji i organizacji o pomoc i poparcie. Do podjęcia decyzji o wstrzymaniu reformy potrzeba jedynie rozsądku i rozważli. Jej kontynuowanie nie należy przy tym, w odczuciu społecznym, do przedsięwzięć priorytetowych.

A. B.: — Przeciwnie, to właśnie rodzice i nauczyciele domagają się wstrzymania reformy.

M. K.: — W obecnym, przełomowym okresie i tak za dużo dokonuje się pod presją społeczną przedsięwzięć, które należałoby odłożyć na później. Kontynuowanie reformy nie miałyby nawet tej subiektywnej wartości, że poprawi nastroje społeczne. Nic zatem nie przemawia za kontynuowaniem reformy w obecnych warunkach.

A. B.: — Panie Profesorze, dziękuję za rozmowę.

OD RED. Rozmowa odbyła się przy końcu listopada. W kilka dni później minister Oświaty i Wychowania, Krzysztof Kruszewski, ogłosił o odstąpieniu władz od wprowadzenia 10-letniej szkoły w Polsce i skupieniu prac jedynie nad reformą programową obecnie istniejącej. Racie przedstawione przez profesora Kozakiewicza zwyciężyły.

FOF. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



Seria plag, która nawiedzała przy końcu minionego roku Kossaki Nadbielne, wieś przodującą pod wieloma względami w gminie Rutki, godna jest poświęcenia jej niemal całych „Spieć”.

Wydawałoby się, że naczelnym problemem wsi powinny być drogi, przypominające grzęzawiska, w których tapla się transport prywatny i uspołeczniony, grzęźnie „bonanza” odwożąc dzieci do szkoły w Kołomyi, a jedyny przejezdny trakt do Rutki wiedzie przez Lutostań (drobiazg: trzeba niemal trzykrotnie nadłożyć drogi). Ale fakty logice przeczą, co nie jest przecież w naszej rzeczywistości zjawiskiem rzadkim.

Oto umysły obywateli Kossaków Nadbielnych rozgrzała do czerwoności sprawa obsadzenia etatu zlewniarza w miejscowym punkcie skupu. Gra idzie ostra; każdy sposób na osłabienie opozycji wydaje się dobry. O skuteczności metod walki stron świadczy fakt, że zajęła się nimi MO w Rutkach.

W połowie października w zagrodzie Adolfa K. padło pięć krów, natomiast Jerzy K. stracił trzy sztuki bydła. W pierwszym przypadku stwierdzono zatrucie rogowatym nadmiarem amoniaku; w drugim — przyczyną nieszczęścia nie ustalono, więc PZU bez szemrania wypłaciło odszkodowanie. Czy dlatego, że w grę wchodziło mniej krów? Może Prokuratura Wojewódzka, do której przed trzema tygodniami odwołał się Adolf K., rozstrzygnie zasadność decyzji PZU i Sądu Rejonowego w Zambrowie, bo przecież poszkodowany poniósł ewidentną stratę, a nikt będący przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że spowodował ją rozmyslnie.

Grudniowe zebranie sprawozdawczo-wyborcze, które miało wyłonić kierownika punktu skupu w Kossakach Nadbielnych, rozpedził pijany mieszkaniec wsi słowotokiem. Nie dopuszczeni do głosu goście — dyrektor Zakładów Mleczarskich w Zambrowie i kierownik działu Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej w Łomży — zdążyli jedynie złożyć zebranym życzenia świąteczne.

Zgodnie z życzeniami — wesołe święta zdarzyły się dwóm gospodarzom i zlewniarzowi, bowiem w cztery dni po jego wyborach na powierzchni wody w trzech studniach pojawiła się ropa naftowa lub olej. Jak truć, to truć: i niewygodnego pracownika skupu, i jego popleczników. Mamy nadzieję, że dzięki sprawności MO w Rutkach — zbrodnia ta nie okaże się doskonałą.

W Nowy Rok — nowe obyczaje! Takie hasło zdawało się przyswiecać łomżyńskim taksówkarzom, którzy do swoich pojazdów z nr.: bocznym 20 (rejestracyjny nieczytelny) oraz rejestracyjnym LOX 1216 (boczny zalepiony brudem) — zabierali pasażerów w odległości pięciu metrów od postoju przy ul. Świerczewskiego w Łomży. To prawda, że wjeżdżanie na chodnik jest ryzykowne dla kół i resorów, ale czy na to ryzyko nie są narażone pojazdy kolegów tych dwóch „ostrożnych taksówkarzy”?

Jak nas (i Komitet Wojewódzki) poinformował wiceprezes Zarządu Wojewódzkiego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych — spółdzielnia, o której pisaliśmy w „Spiećciach” („Kontakty”, nr 26/80), w ogóle w Grajewie nie istnieje. Autora sygnału zapraszamy do redakcji po odbiór „honorarium” i propozycji: aby takie informacje zamieszczał w prywatnej Kronice Chorośliwych Uroję.



Kontynuujemy druk pamiętnika dr. Mieczysława Czarnieckiego, łomżyńskiego, wybitnego działacza politycznego, który od szkolnych lat uczestniczył czynnie w walce o prawo Polaków do własnej, niezawisłej ojczyzny, a następnie — o ich wyzwolenie społeczne w wolnym kraju. Pamiętnik ów, nigdzie dotąd nie publikowany, zdobyliśmy dzięki Helenie Czarnkowej, której udostępniła go wrocławska rodzina autora. Prowadzony od dzieciństwa do ostatnich dni życia doktora (w roku 1963), stanowi malowniczy wizerunek historii Ziemi Łomżyńskiej i jej wybitnych synów.

Kraków 1908—1914

W Krakowie zastałem kilku kolegów, którzy przybyli tu z zaboru rosyjskiego, żeby kształcić się dalej. Byli to: Władysław Czyżewski, Stanisław Siennicki, Roman Jabłonowski, Witold Suchodolski, Zygmunt Jastrzębski, Leon Jakubowski, Leon Żelazny, Wiktor Supiński i Bogdan Winiarski. Zamieszkałem z Leonem Jakubowskim i razem uczylimy się, by zdać maturę jako eksterzniści. Musieliśmy dodatkowo nadgonić 4 lata nauki języka greckiego i niemieckiego. Podczas egzaminów maturalnych umówiłem się z kolegami galicjanami, że ja rozwiążę wszystkie trzy zadania matematyczne i porozysłam im, a oni pomogą mi w niemieckim. I tak się stało. Napisany przez mnie temat poprawił mi sąsiad Bolesław Roja, późniejszy generał legionów Piłsudskiego, a ja dałem mu rozwiązanie zadania: „Obliczyć wysokość wieży Mariackiej, stojąc przy pomniku A. Mickiewicza i o 10 m bliżej”. Po zdaniu matury w gimnazjum św. Anny, wstąpiłem na wydział lekarski Wszechnicy Jagiellońskiej. Mieszkałem w domu akademickim przy ul. Jabłonowskich. Stołowałem się w taniach kuchniach, organizowanych przez panie ze stowarzyszenia św. Zyty. Pamiętam, że kotlety nazywaliśmy „dwuchlebek bułki”.

Wstąpiłem do Stowarzyszenia Akademickiej Młodzieży Socjalistycznej „Spójnia”. Byli tam zwolennicy Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galię i Śląska, grupa wolnomyślicieli zorganizowanych przez Marię Bujwid, żonę profesora. Z krakowiaków — pepesowcy Piłsudskiego i PPS-Lewicy oraz kilku z Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Współzycie było koleżeńskie. Na czoło wysunęli się: Stanisław Świdwiński, Eugeniusz Przybyszewski, Stefan Heltman, Witold Suchodolski, Roman Jabłonowski i ja. Z esdeków Józef Kuć i Julian Leszczyński.

Życie kulturalne w „Spójni” było ożywione. Wygłaszaliśmy dużo referatów, po których odbywały się dyskusje. Często zapraszaliśmy prelegentów ze starszego pokolenia. Miałem zaszczyt być przewodniczącym „Spójni” przez dwa lata. Za mojej kadencji towarzysz Lenin wygłosił dwa razy referaty w „Spójni”. Na wiecach akademickich zdarzało się, że w imieniu poszczególnych stowarzyszeń przemawiali łomżyńscy i polemizowali ze sobą.

Dziwny zabieg okoliczności na czoło łrzech stowarzyszeń akademickich w Krakowie wysunęli się łomżyńscy: Bogdan Winiarski, mocna głowa prawnicza, stał na czele narodowo-demokratycznego „Zjednoczenia”, Wiktor Supiński, brat księdza z Nowogrodu, prowadził „Zarzewie”, Stowarzyszenie Młodzieży Radykalno-Narodowej, a Witold Suchodolski, Roman Jabłonowski i ja przewodziliśmy socjalistycznej „Spójni”. Toteż na wielu wiecach i zebraniach łomżyńscy kruszyli kopie między sobą. Na terenie domu akademickiego udało się nam, socjalistom, obalić długoletnie rządy endecków z Bogdanem Winiarskim na czele. Przeprowadziliśmy zasadę wyborów proporcjonalnych do władz „Wzajemnej Pomocy”. [...]

Co roku „Spójnia” organizowała wiec ogólno-akademicki, na którym domagaliśmy się oddzielenia wydziału teologicznego od uniwersytetu. Wiece te odbywały się na mieście, ponieważ rektor odmawiał nam

sali uniwersyteckiej. Zapraszaliśmy na nie endecków i sodalistów mariańskich. Brałem w nich aktywny udział i ścierałem się z klerykałami, bijąc ich cytatami z Pisma Świętego, bo oni nie czytali treści czterech Ewangelii w oryginale.

Domagaliśmy się również utworzenia katedry nauk społecznych i wskazywaliśmy na Krzywickiego jako jej kierownika. Był profesorem nauk społecznych w Warszawie i lubiliśmy jego rozumowanie. On pierwszy zaczął traktować nauki społeczne jako odrębny przedmiot.

Konserwatywny senat akademicki utworzył taką katedrę na Wydziale Teologicznym, ale powołał na nią ks. Cymermanna z Poznania. Był on energicznym działaczem chrześcijańskiej demokracji. Ks. Cymermann ogłosił wykłady nie na Wydziale Teologicznym, ale w sali Kolegium Novum, dla słuchaczy wszystkich wydziałów. Studenci świeckich wydziałów zapełnili salę, schody i vestibulum. Gdy ks. Cymermann wszedł na katedrę, kol. Kazimierz Czapliński zaczął odczytywać ustępy wybrane z książki księdza, wydanej w Poznaniu, pt. „Moja baba”, potem zmienionym na „Moja pani”. Nasze śmiechy i okrzyki nie pozwoliły księdzu wygłosić wykładu. Po godzinie uchwaliliśmy rezolucję, w której domagaliśmy się, żeby ks. Cymermann wykladał na teologii, a dla nas żeby powołano świeckiego naukowca.

W terminie drugiego wykładu młodzież akademicka zapełniła cały gmach i zablokowała wszystkie wejścia tak, że ks. Cymermann nie mógł w ogóle wejść do gmachu. Rektor wezwał policję, ale prawo nie pozwalało jej wkraść na teren uniwersytetu, więc tylko otoczyła gmach Kolegium Novum. Interweniowali poseł Daszyński i poseł dr Zygmunt Marek. Policja ustąpiła. Myśmy opuścili gmach. Senat akademicki relegował kilku przywódców i zagroził wykluczeniem innych. Wtedy ogłosiliśmy okupację gmachu i siedzieliśmy tam dzień i noc na zmianę, śpiewając, deklamując i przemawiając na różne tematy. Nie wpuszczaliśmy żadnego profesora, więc wykłady nie mogły się odbywać. Senat ogłosił wydalenie kilku nastu przywódców. Nastąpiła interwencja ministra z Wiednia. Wydalenia zostały cofnięte i ks. Cymermann przeniósł swoje wykłady na teologię. Przywódcy stracili jedno półroczcie studiów. Ja również, ponieważ nie mogłem w terminie zdać egzaminu z 10 godzin wykładów na celującą, więc musiałem zapłacić czesne za następne półroczcie (wtedy istniał zwyczaj, że student, który zdał egzamin z 10 godzin na celującą, nie płacił za naukę).

Młodzież akademicka, a zwłaszcza medycy, brali aktywny udział w wykładach Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza. Prowadziła go pani Helena Radlińska, żona znanego chirurga. Ja brałem udział w agitacji do parlamentu wiedeńskiego w okręgu doktora praw, Zygmunta Marka.

O Wawel dla Słowackiego

Drugim wielkim przeżyciem młodzieży akademickiej w Krakowie była akcja sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju i umieszczenia na Wawelu wśród zasłużonych. Akcja trwała parę lat i wreszcie, gdy czynniki administracyjne zgodziły się, ks. kardynał Puzyra, jako gospodarz kościoła, postawił swoje veto! Podziało to na nas jak iskra elektryczna. Po burzliwym wiecu setki młodzieży udały się pod pałac ks. kardynała i urządziły kością muzykę, wznosząc nieprzyjazne okrzyki. Policja z półksiężycami pod brodą rozpędziła nas. No drugi dzień odbył się jeszcze większy wiec protestacyjny. Gdy plantami szliśmy w kierunku siedziby ks. kardynała, policja na koniach szarżowała na nas. Przewracali się ludzie i zwierzęta, bo młodzież z boków chwytała konie za uzdy i ściągała policjantów na ziemię. Było dużo guzów i aresztowań. Wiece protestacyjne trwały nadal. Na jednym z nich, podczas przemówienia przedstawiciela postępowej demokracji, kol. Tangla, cała sala ryczała ze śmiechu, gdy zaczął zdanie: „Ksiądz kardynał Puzyra nie chce wpuścić na Wawel Słowackiego, bo pewno rezerwuje tu miejsce...” to kol. Kuć zawołał: „...dla swojej gospodyni”.

na frontach I wojny światowej

1914—1917

Gdy wybuchła I wojna światowa, miałem już absolutorium z ukończenia Wydziału Lekarskiego, ale brakowało mi jeszcze dwóch egzaminów do otrzymania doktoratu. Ponieważ Kraków był uznany za Festung, czyli twierdzę, więc wszyscy obcokrajowcy musieli go opuścić. Miejscowe władze знаły mnie z antycarskiego nastawienia, więc proponowały mi wstąpienie w charakterze lekarza do I Korpusu Krakowskiego. Byłem bez pieniędzy i nie miałem dokąd jechać, więc propozycję przyjąłem. Podczas długich przerw między walkami złożyłem w Krakowie brakujące egzaminy i dnia 4 marca 1915 roku zostałem promowany na doktora wszech nauk lekarskich (Omnia universae medicinae doctor).

Szpital nasz trzymał się 2 do 3 kilometrów za linią piechoty. Pierwsza wielka bitwa, pod Kraśnikami na Lubelszczyźnie, dała nam takie ilości rannych, że pracowaliśmy dzień i noc. Kilkanaście przygotowanych łóżek momentalnie zapełniło się ciężko uszkodzonymi. Kładliśmy rannych pokotem na słomie w stodołach i pod namiotami. Kto tylko nadawał się do transportu, był odsyłany po udzieleniu pierwszej pomocy na tyły. Po kilku dniach rzezi, w której początkowo Austriacy mieli przewagę, konfrontowały rosyjska przełamała front, na skutek czego musieliśmy się cofać. Szpital znalazł się na końcu uciekających i mieliśmy na karku kozackie patrole konne. Robiliśmy piechotę do 70 kilometrów dziennie. Ostatecznie oparliśmy się na Śląsku, wtedy pruskim. Po paru miesiącach przygotowań front austriacko-niemiecki ruszył naprzód. Szpital znalazł się pod Dęblinem. Obsługiwaliśmy lewe skrzydło wojsk austriackich. Na samym styku frontu Austriaków i Niemców znaleźli się polscy legionści. Podczas nocnego ataku na fortecę Dęblin opatrzyliśmy kilkudziesięciu rannych legionistów. I znowu odepchnięto nas nad Nidę, gdzie front trzymał się parę miesięcy. Korpus krakowski przerzucono na Węgry. Przeleczą Ekermeze i Keresmeze przeszliśmy na wschodnią stronę Karpat. Austriacy stworzyli klin, który zagrażał tyłom wojsk carskich.

Gdy wybuchła epidemia cholery i tyfusu plamistego na wschodnich terenach walki w Małopolsce, przeszedł rozkaz do jednostek w polu z zapytaniem: „Kto dobrowolnie zgłosi się do tłumienia epidemii”. Po zgłoszeniu zostałem odesłany do dyspozycji nadzwyczajnego komisarza do

walki z epidemiami, prof. dr. Emila Godleskiego w Krakowie. Odkomenderowano mnie do Kałusza we wschodniej Małopolsce. Cholera panowała tam w całym powiecie. Gdy w długiej, trzykilometrowej wsi Jasiuń Wielki tłumaczyłem ludności ukraińskiej potrzebę szczepienia ochronnego, nikt nie chciał się dać zaszczepić. Wszyscy byli zdania: po co szczepić cholere, kiedy ona jest już we wsi. Wtedy wlałem na placu na stół, rozebrałem się od góry i na oczach tłumu zrobiłem sobie zastrzyk w klatkę piersiową. Zgłosiło się ośmiu odważnych mężczyzn. Do tej samej wsi mogłem wrócić dopiero po tygodniu, bo miałem dużo pracy w innych miejscowościach. Szczęśliwie się stało, że żaden z zaszczepionych nie zachorował w tym czasie. Przy drugiej wizycie zaszczepiłem z górą 300 osób.

W prowizorycznym szpitalu, w gmachu nieczynnej szkoły, leżało dziesięciu chorych na cholere. Na sanitariuszkę dla nich zwerbowałem miejscową „znającą” i pouczyłem ją dokładnie, jak się strzec zarażenia. Zostawiłem leki i środki dezynfekcyjne, a oprócz tego parę litrów rumu, którego Austriacy mieli wtedy dużo. Gdy raz niespodziewanie wpadłem na kontrolę, zastałem „sanitariuszkę” spokojnie śpiącą między chorymi, bo piła rum z każdym oddzielnym...

Następnie przerzucono mnie na stację kolejową Miechów w byłym zaborze rosyjskim, ponieważ w gminie Łęczyska i Rzeźninie srożył się tyfus plamisty.

Każdą zakażoną wieś otaczały posterunki austriackiej żandarmerii, a ja z sanitariuszkami i aparatami dezynfekcyjnymi wchodziłem do środka i odwyszawaliśmy chałupę po chałupie wraz z ludźmi. W ten sposób skoncentrowałem chorych w dziesięciu chałupach koło szkoły, a reszta ludzi zdrowych została poza kordonem. Dwa razy musiałem interweniować brutalnie. Raz — gdy mąż w wieku lat 50, który miał pielegnować żonę, umyślnie nie dawał jej pić, żeby prędzej umarła, a drugi raz, gdy zamożny gospodarz za litr mleka dla chorych kazał sobie płacić podwójną cenę, a mia nowicie 20 groszy, zamiast 10.

Następnie tłumilem tyfus plamisty w Szczepieszynie (ziemia lubelska). Jednocześnie prowadziłem tam szpital ogólny, zorganizowany jeszcze przez władze rosyjskie, z obsługą wyłącznie rosyjską. Szczepieszyn należał do tzw. Chelmszczyzny, zamieszkiwanej w dużej części przez Unitów, więc był uznany za ziemię rosyjską. Lekarze uciekli, zostały siostry Rosjanki. Praca szła bardzo sprawnie!

Dowiedziawszy się, że w moim rodzinnym mieście brak lekarzy, zwolniłem się ze stanowiska lekarza do tłumienia epidemii i w 1917 roku wróciłem do Łomży, która była pod okupacją niemiecką.

Wybrała TERESA POLECKA



Ukazanie się w grudniu ub. roku na rynku księgarskim „Poezji i dramatów” Karola Wojtyły, było dla wielu czytelników podwójnych zaszkoczeniem. Pierwsze wynikiło ze zbyt długo propagowanego poglądu, że sztuka i religia nie idą ze sobą w parze, drugie zaś z faktu, że Karol Wojtyła do tej pory publikował swoje utwory pod pseudonimami Andrzej Jawień lub Gruda. I tylko nieliczne grono jego przyjaciół wiedziało kto jest naprawdę ich autorem.

Już pierwsze opublikowane utwory poetyckie („Tygodnik Powszechny” 1950 r. — 1952 r.) nie są pozbawione znamion oryginalności a jednocześnie zawierają w sobie wyraźne pokrewieństwo formy ze średniowieczną poezją mistyczną, znaną znakomicie autorowi „Brata naszego Boga”. Swoje zainteresowanie tym gatunkiem poezji ukoronował on zresztą pracą doktorską poświęconą twórczości hiszpańskiego mistyka św. Jana od Krzyża, którego dzieła nie są wyłącznie przeciwieństwami teologicznymi.

Z tej tradycji wywodzi się poezja Karola Wojtyły, który jest przykładem realizacji w niej nurtu filozoficznego, jedną z dróg poznawania świata. Stanowiła uzupełnienie tego wszystkiego, czego nie można przekazać językiem naukowym a co domaga się jasnego określenia. Jawień przy pomocy prostych środków poetyckich — serca wyobraźni i umysłu — dociera do tajemnic miłości, macierzyństwa, ojcostwa, śmierci i otaczającej nas przyrody.

I może dlatego jest ona wyważona intelektualnie, bez zbitecznych figur literackich i nadmiernej emocji. Są to refleksje, w których autor opanował wewnętrzne żywioły; tłumie ekspresję aby obrazy poetyckie tym silniej oddziaływały na czytelnika. Robi to subtelnie, co jeszcze mocniej pobudza wyobraźnię. Marek Skwarnicki w przedmowie do tej książki pisze: „...Dostrzegam w nich nie tylko ślady trudu poznawczego na drodze ku Bogu, lecz i trud czysto literacki, rzemieślniczy, właściwy pracy artysty...”

Obrazy w tej poezji rozwijają się niezwykle dynamicznie, mnożą się symbole w których zawarty jest światopogląd artysty.

Nie zapomnę nigdy tych jeziorek co zaskoczyły nas po drodze jak gdyby dwie cysterny nieznębnego snu.

Spał metal zmieszany z odbłaskiem jasnej sierpniowej nocy.

(„Przed sklepem jubilera”)

Postacie, którymi załudniony jest świat tej poezji niepokoi głód poz-

naną metafizycznych tajemnic spraw ostatecznych, które jest procesem długotrwałym, uciążliwym i na dobrą sprawę nigdy się nie kończącym. Świat leków, niepokoi odbija się tutaj jak w zwierciadle, które służy często jako motyw częstokroć poznania ludzkiego losu. Te myśli przewodnią w wielu utworach najlepiej sformułował Andrzej — bohater zacytowanego fragmentu: „Spostrzegam, iż to nie było zwykłe płaskie zwierciadło, ale jakaś soczewka wchłaniająca swój przedmiot. Ryliśmy nie tylko odbici, lecz wchłonięci. Odniosłem takie wrażenie, jakbym był widziany i poznany przez kogoś, kto się ukrył w głębi tej witryny”.

W opublikowanych obok fragmentach poematu „Kamieniółom” powstałego w roku 1950 można wytropić lirykę, która łączy w sobie elementy religijno-filozoficzne z relacjami dramatycznymi, które są przeciwieństwami wspomnieniami Karola Wojtyły — papieża Jana Pawła II z pracy w podkrakowskich kamieniółmach w okresie okupacji.

Przedstawia on w tym poemacie realistycznie obraz morderczej pracy robotnika, która jest co prawda wyniszczająca, ale też zarazem niezbędna dla powstania trwałych wartości materialnych.

W roku 1940 Karol Wojtyła studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jeszcze przed podjęciem decyzji wstąpienia do seminarium duchownego interesuje się problemami sztuki. W tym czasie powstał dramat „Hiob” utwór oparty na wątkach biblijnych. Jest on w znacznej mierze próbą zrozumienia tego, co się w naszym kraju wydarzyło po roku 1939. Sytuacja Hiobowa w jakiej znalazła się Ojczyzna jest dla autora okazją do poznania granic ludzkiego cierpienia. W liście do przyjaciela pisał o tej sztuce: „... Ma wymiar romantycznej tęczy od ziemi i od serca człowieka”.

„Miłość to nie jest przygoda, ma smak całego człowieka. Ma jego ciężar gatunkowy i ciężar ludzkiego losu” — mówi jeden z bohaterów dramatu „Przed sklepem jubilera”. W tym obszernym utworze poetyckim

przedstawione są losy trzech par, trzy warianty miłości, ukazujące jej największą wartość w życiu człowieka. Szyba sklepu jubilerskiego, obrączki to tylko niektóre symbole ludzkiego wymiaru losu. Przykładem takiej symboliki są słowa jubilera wypowiedziane do Anny, która przynosi mu do sprzedaży obrączki:

„Moja waga jubilerska
ma tę właściwość
że nie odważa metalu
lecz cały byt człowieka i los”

Miłość więc w tym przejmującym dramacie refleksyjnym jest połączeniem się dwóch osób w sposób idealny. Jest zjednoczeniem pełnym i ostatecznym. Stawia zarazem ludzi w konkretnych doświadczeniach, pokazując jak ich los realizuje się w czasie.

Z trzydziściowym dramatem „Brat naszego Boga” zapoznałem się już wcześniej. Święta Bożego Narodzenia 1979 r. spędziłem przy lekturze tego tekstu, który został udostępniony z okazji świąt czytelnikom „Tygodnika Powszechnego”. Moja wiedza o Adamie Chmielewskim w tym czasie była ograniczona do tego co mogłem odczytać w tym gigantycznym eseju o człowieku. I to wystarczyło abym mógł zrozumieć motywy jego jakże trudnego wyboru moralnego. Nie jest bowiem sprawą łatwą porzucić nagle swoją pasję twórczą, znakomitych przyjaciół, by pomagać ludziom zagubionym, mieszkającym w krakowskiej ogrzewalni. Nieważne jest dla czytelnika czy widzą wątek historyczny, ale wybór moralny bohatera. Rekwizyty, scenografia w tym tekście są zredukowane do minimum. W tym dramacie istotne jest słowo i gest, które tak często tracą swoją siłę nośną na naszych scenach teatralnych.

Powodzenie sztuk teatralnych Karola Wojtyły upatruje w przywróceniu wartości słowom, które wypowiadają aktorzy. Lektura artykułów zamieszczonych na końcu „Poezji i dramatów” utwierdza mnie w tym przekonaniu. Poświęcił je Karol Wojtyła (chyba nie przypadkowo) krakowskiej scenie Teatru Rapsodycznego. Analizując wybornie poszczególne premiery tego teatru podkreśla nieustannie rolę jaką słowo i gest odgrywają w przekazywaniu myśli. Daje tym samym klucz do inscenizacji swoich dramatów.

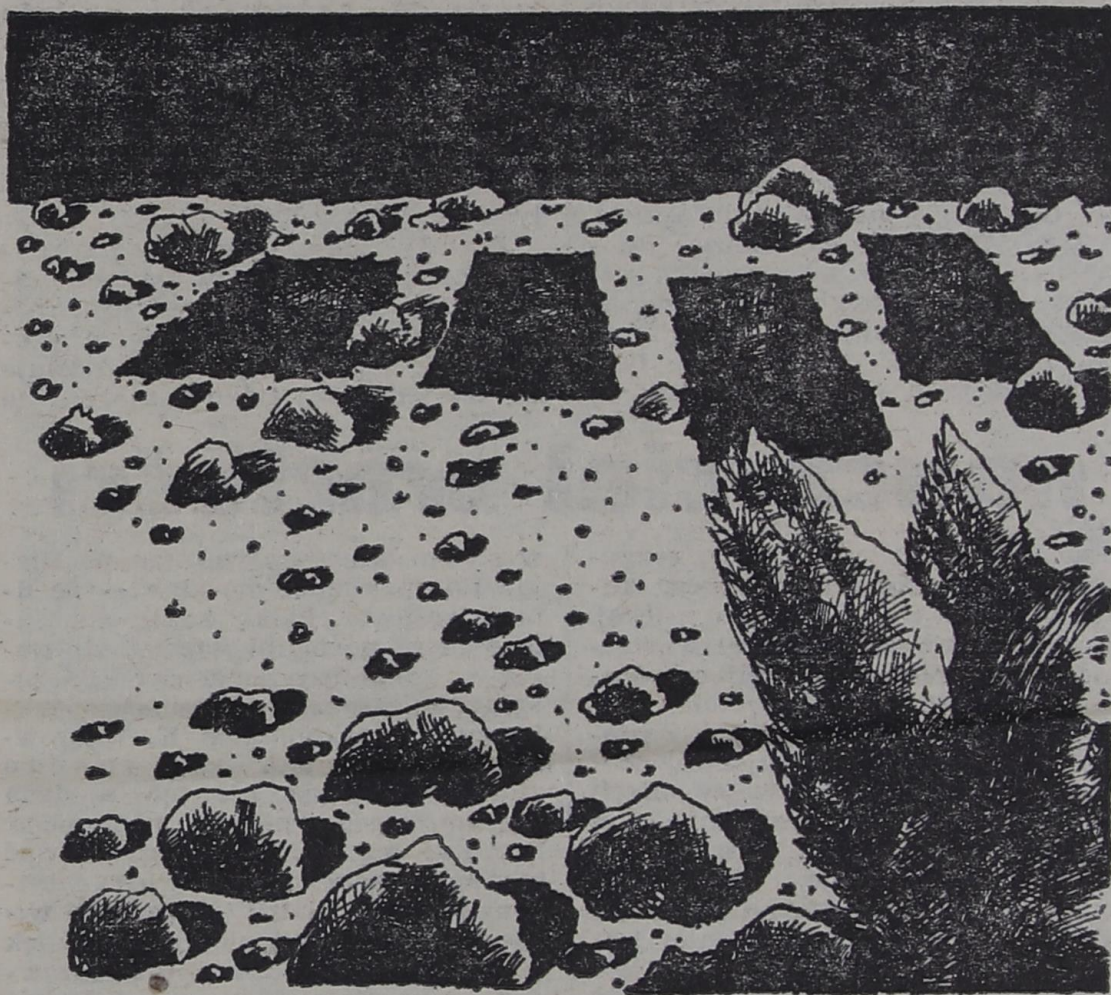
W czasach dzisiejszych, gdy los ludzki niepewny a sam człowiek uwikłany jest w niezliczne problemy, sprawy rozpięte przez Karola Wojtyłę w scenicznym wnętrzu słów są dla nas szczególnie wartościowe etycznie.

JAN KULKA

rys.

STANISŁAWA KĘDZIELAWSKIEGO

od serca człowieka



KAROL WOJTYŁA

Kamieniółom

I. Tworzywo

1.

Słuchaj, kiedy stuk młotów miarowy i tak bardzo swój przenoszę wewnątrz ludzi, by badać siłę uderzeń —
słuchaj, prąd elektryczny kamienistą rozcina rzekę —
a we mnie narasta myśl, narasta dzień po dniu,
że cała wielkość tej pracy znajduje się wewnątrz człowieka.

Twarda, pęknięta dłoń inaczej młotem wzbiera,
inaczej się rozwiązuje w kamieniu ludzka myśl —
kiedy energie ludzkie oddzielisz od sił kamienia
i przetniesz w właściwym miejscu — tętnicę pełną krwi.

O, popatrz, jak można miłować w takim gruntownym gniewie,
który wpada w oddechy ludzi jak rzeka od wiatru pochyła,
i nie dochodzi do głosu, tylko struny wysokie zerwie —
przechodnie pierzchają do bram —
ktoś głosem ściszonego powiedział: to jednak jest wielka siła.

Nie lękaj się. Sprawy ludzkie szerokie mają brzegi.
Nie wolno ich w ciasnym łożysku więzić nazbyt długo.
Nie lękaj się. Sprawy ludzkie stoją od wieków
w Tym, na którego patrzysz poprzez młotów miarowy stukot.

2.

Związane są bloki kamienia przewodem niskiego prądu,
który wcina się w nie tak głęboko, jak niewidzialny bicz
— kamienie znają ten gwałt,
kiedy dojrzałą spoistością nieuchwytny rozpruwa podmuch,
który odrywa je z nagłą od ich wieczystej prostoty
— kamienie znają ten gwałt.
Jednak nie prąd elektryczny rozwiązuje w całość ich moc,
ale ten, co ją nosi w swych dłoniach:
robotnik.

3.

Dłonie są krajobrazem serca. Dłonie pękają nieraz
jak wąwozy, którymi się toczy nieokreślony żywioł.
Te same dłonie, które człowiek wówczas dopiero otwiera,
gdy nasycone są trudem —
i widzi, że przez niego jednego inni ludzie spokojni
już idą.

Dłonie są krajobrazem. Gdy pękają, to wtedy w ranach
wzbiera fizyczny ból, rwący swobodnie jak strumień.
Ale człowiek nie myśli o bólu.
Ból sam jeszcze nie jest wielkością,
a swej właściwej wielkości on po prostu nazwać nie umie.



Z DRUGIEJ STRONY CZASU

Najpierw to jest ważne, potrzebne i dobre, co pożyteczne. Bo nawet taka pokrzywa, szczyt chamstwa i zachłanności, dla rolnika bywa rośliną bardzo pożyteczną. Młode pokrzywy odpowiednio polane ukropem, po to, żeby straciły tę swoją bolesną wściekłość, są przysmakiem dla równie młodych jak one świnek. Dlatego nie dziw się bardzo, kiedy zobaczysz na wiosnę w chłopskim ogrodzie stadko pokrzyw. Ba, żeby tylko pokrzyw. A tam jeszcze i kobyłak z ogromnymi liśćmi i belica i piolun. Chrzanu tam nie brakuje, komosy i skołojrzaku. Wszystko to rośnie najchętniej w cieniu drzew owocowo-ozdobnych — jabłoni, wisienek, śliwek. Lip, klonów i kasztanów.

— A te drzewka, czym mają być? — pytam — lasem, czy sadem?

— Toć chyba widzisz, że sadem.

— Mizerny to sadek, gdzie jabłka osiągają wielkość wiśni, bo niby z jakiej racji miałyby rosnąć większe, jeśli nie dociera do nich słońce. Na wiśniach nie uświadczysz owoców, bo pszczoła nie doleci do kwiatu, taki tam gąszcz. Śliwki tzw. wróblówki kamienie mają jedynie i nic wię-

cej. Kamienie i skórę. Płoty, nie powiem, ładne mają ludziska, ale czego te płoty strzegą? Co okalają? Gmina kazała zrobić płoty, nastraszyli mnie mandatami, to naród wziął się do roboty i zrobił. I wszystko jest dzisiaj w porządku. Gmina zadowolona i chłopci zadowoleni. Płoty, nie powiem, są ładne, malowane, z desek, równiutkie. Napisałem — gmina — a przecież nie wiem naprawdę kto był takim estetą i komu należałoby postawić pomnik za te płoty. Niech więc idzie wszystko dalej na konto gminy.

Płoty więc stoją i cieszą oko, a za

pożytek i piękno

tymiż pięknymi płotami „ogrody nieplewione”, chaszcze okrutne, płatnina umęczonych drzew. Nie, na to już nie było fachowca, to specjalnie nikomu nie przeszkadzało, ani gospodarzowi, ani tym bardziej urzędnikom.

Piękno. Gdzie ono jest tu na wsi? Kto o nim może mi coś powiedzieć? Piękno wynikające ze szlachetności i dobroci. Piękno kulturowane w domach mieszkalnych i obejściach, piękno nawiedzające chłopskie sady i ogrody. Człowiek, który ceni naj-

wyżej pożyteczność i użyteczność, głuchy i ślepy bywa na piękno.

Bo weźmy chociażby dzieci wiejskie. Były jakby metodycznie oszpecone przez rodziców. Właśnie przez tę piekielną kategorię pożyteczności. Dziecko nie mogło być nigdy naprawdę dzieckiem. Istniało jako pomoc, pastuch, gęsiarka czy świniopas. Dziecko od pierwszych dni swego żywota stykało się z programową obojętnością rodziców. Miało okazję wyplakać się i wygłodzić w okresie niemowlęcym, a potem spełniać uciążliwe posługi. To dziecko pozostawione samopas, al-

ny przez własną matkę. Skoro nie przynosił pożytku, nie zasługiwał na łyżkę stawy. I nie wiem już, co jest w tym fakcie bardziej tragiczniejsze, jego śmierć, czy jej, matki, głuchota i ślepotą odziedziczona po równie zniewolonych i zahukanych przodkach.

Na szczęście dzisiaj mamy dorodną młodzież zarówno w Janczewie jak i w Bronakach, Pieńkach, czy Korytkach. I nie to mnie cieszy, że się uczą, że są wysocy i ładni, ale fakt, że za tymi kolorowymi płotami w ich ogrodach dostrzegam coraz więcej róż i pelargonii. Tulipanów i goździków.

Bo piękno jest wbrew pozorom, wbrew tej pańszczyźnianej tradycji, która uświęcała jedynie tyranie i harówkę — pożyteczne i dobre. Poczucie piękna pozwala nam kierować wzrok ku górze, aż hen na Olimp, gdzie zasiadają bogowie, bo bez jego udziału schodziliśmy, niestety, coraz niżej pod ziemię tropem ślepego kreta.

Przed wszystkim jednak poczucie piękna zbliża nas do drugiego człowieka, co w tych trudnych czasach jest bardziej potrzebne niż kilogram cukru, czy wędliny.

TADEUSZ MOCARSKI

„Kto ocali jedno życie, postępuje tak, jakby uratował cały świat; kto unicestwi jedno życie, czyni tak, jakby unicestwił cały świat”. Te słowa Talmudu znaczą, że z pewnego punktu widzenia nie ma żadnej różnicy między śmiercią (życiem) jednego człowieka i unicestwieniem (istnieniem) wszystkich ludzi. Zawodzi tu postawa księgowego, który chciałby opierać swoje wartościowanie na bilansie: dwa istnienia ludzkie to więcej aniżeli jedno. Coś bardzo podobnego chce powiedzieć John Donne, a potem Ernest Hemingway, gdy z fragmentu poematu Donne’a czyni motto i tytuł swej najlepszej książki. Nie pyta, komu bije dzwon — bije on tobie. Każdorazowo czyjaś śmierć jest i moją śmiercią, choć może nie dosłownie, może nie tak samo. Jestem mikrokosmosem stanowiącym jak gdyby zagęszczenie świata rzeczywistego. Świata, to znaczy innych mikrokosmosów, innych ludzi: oni istnieją we mnie. Ich nagły brak, to śmierć cząstki mnie samego — o tym mówi Talmud, mówią Donne i Hemingway.

Mówił o tym często, choć może nie tak dosłownie, Profesor Kazimierz Dąbrowski — filozof, psycholog, psychiatra. Przede wszystkim pedagog. Zmarł w wieku 78 lat, 26 listopada ubiegłego roku. Wielu ludzi, którym pomagał jako terapeutę, a także jako myśliciel — autor książek i rozpraw — poczuło się mniejszymi: w nich też coś umarło. Wtedy, gdy czytali nekrolog, a

może ciut wcześniej, gdy coś przeczytali; gdy wiedzieli, zanim jeszcze dowiedzieli się o swej stracie. Właściwie nie powinno być tak, byswym odejściem jakiś autor zubożał czytelników: oni mają książki, mają jego — autora, nieśmiertelnego w tych książkach. Więc dlaczego?

Profesor Dąbrowski swoje myślenie o człowieku usytuował w obszarze refleksji antynaturalistycznej. Naturaliści starali się ukazać człowieka jaki jest — jako cząstkę natury — „naprawdę”. Obiektywnie, w sposób „niewinnoopisowy”, bez wykraczania poza stwierdzalne fakty. Wychodziło im, że człowiek to

rażnia się między sobą w sprawach dość przecież zasadniczych. Nie różni ich z pewnością jedno: zwracają się do człowieka — bytu przekraczającego wymiar biologii obejmującej wszelkie istnienie żywe. Człowiek, jakiego znajdziemy u Kępińskiego czy Dąbrowskiego, to już naprawdę CZŁOWIEK — choć prawda, że autorzy ci nie używali w tym miejscu dużych liter.

Zarzuty, jakie w sposób nierzadko obelżywy formułowano pod adresem Profesora Dąbrowskiego: metodologiczne — że nie opisuje a ocenia; ideologiczne — że odwołuje się do jednostki tylko i zamyka ją

cenion Profesora, powiedziała niedawno, że do takiej konfrontacji nigdy nie dojdzie. Może właśnie teraz stanie się możliwe zważenie myśli Profesora Dąbrowskiego: tyle to już przecież razy potrzebna była czyjaś śmierć, by można było dostrzec, co ona zamyka

Pisał bardzo dużo. Bez mała czterdzieści książek, trzy i pół setki artykułów, przez ostatnie lata stała rubryka w „ITD”. Wszystkie te słowa i zdania przesiąknięte wartościami: nie tylko „jest tak”, „tak nie jest”, lecz „tak jest dobrze”, „to jest zło”. Uczył wartości najbardziej podstawowych i uniwersalnych biorąc je, jak niegdyś „akuszer” Sokrates, od ludzi, z którymi się stykał i których „uczył”. Wiedział, że znajdzie u czytelnika coś, co zwał „potrzebą ideału”. Pisał nie tyle o człowieku, co raczej do niego; miał zapewne świadomość funkcji, jakie może to jego pisanie pełnić. I pełniło, gdyż nie można niczego pisać bezkarnie; wszelkie słowo, gdy już trafi do odbiorcy, zaczyna się tam w jakiś sposób ucieleśniać. Ważne tylko, w kierunku jakich wartości kieruje słowo.

Ludzie, którym dusza zmroczyła. Ile listów, jakie ludzie ci wysłali do Profesora, pozostanie bez odpowiedzi. Jaka szkoda, że nie zdążył odpisać Jolce, poplatanej dziewczynie z Kikola. Jaka szkoda, że nie zdążyła ona do Profesora napisać...

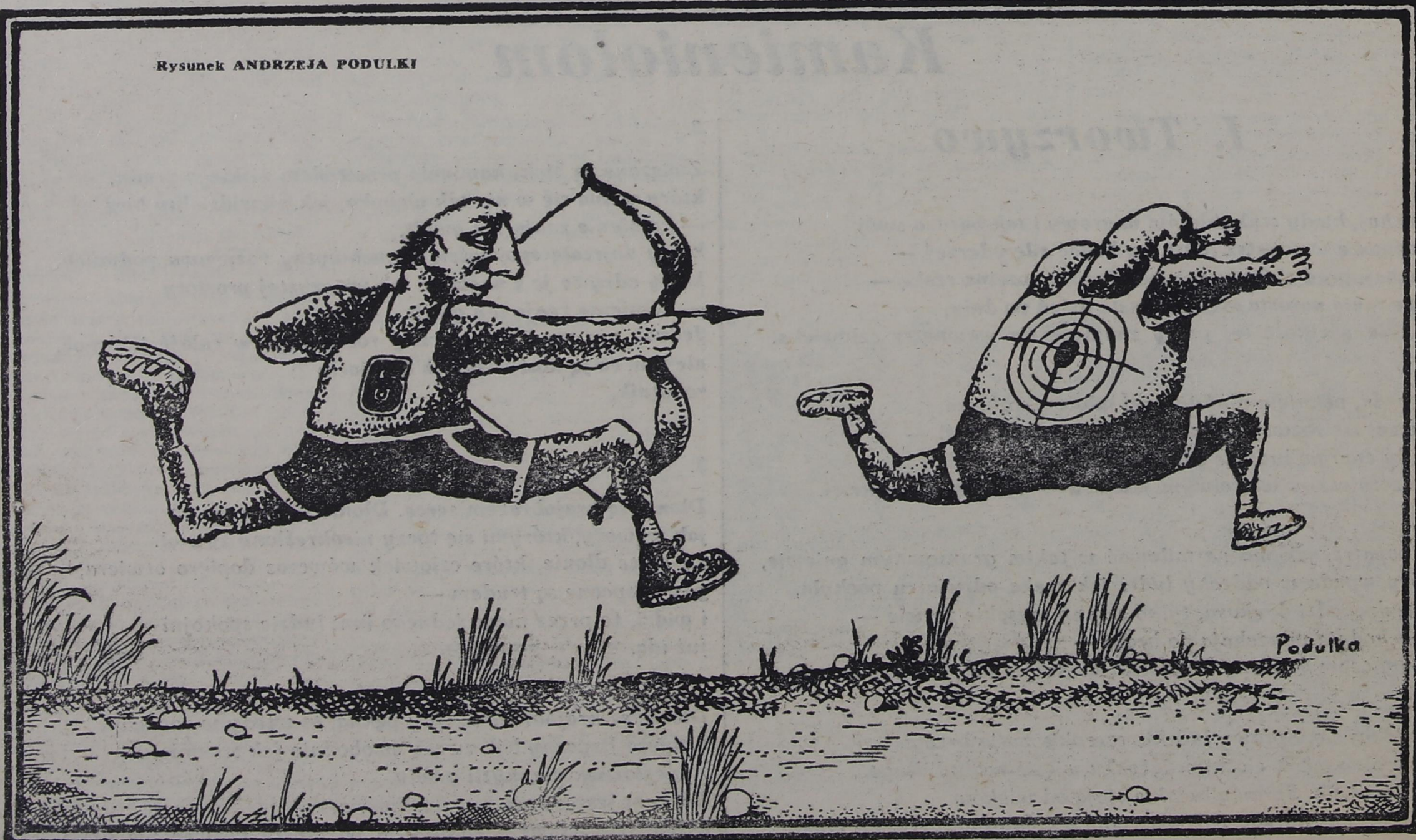
ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI

nauczyciel wartości

istota biologiczna: doznająca, reagująca, rodząca się i umierająca. Antynaturaliści chcieli czegoś więcej. Chcieli szukać w człowieku wartości i przez wartości chcieli człowieka rozpoznawać. Wskazywali człowiekowi „jakim powinien być”. Zastanawiające, jak niewielu zwolenników znajdują wśród tzw. zwykłych czytelników nacechowane chłodnym obiektywizmem tabel i wykresów teorie naturalistyczne. Zdziwienie czytelnika — nieprofesjonalisty: ta tabelka to o mnie, to ja w niej jestem zawarty? Zastanawiające jest również, jak błyskawicznie znikają z półek księgarskich książki K. Dąbrowskiego, K. Jankowskiego czy A. Kępińskiego — choć autorzy ci

w swoim własnym wnętrzu pomijając tło społeczne; moralne — że u nieszczęśliwych ludzi, każąc im sądzić że są normalni wtedy, gdy noszą w sobie psychonerwicę. Te zarzuty w zasadzie odpowiadają faktycznym przekonaniom K. Dąbrowskiego, tyle tylko, że z innego punktu widzenia nie ma w tych przekonaniach niczego nagannego. Profesor marzył, by skonfrontować te dwa przeciwstawne — jego i tradycyjnej psychiatrii — punkty widzenia; by chcieć uczynić wysiłek zrozumienia, że szansę dla „prawdy”, szczególnie gdy ma ona dotyczyć człowieka, stanowi rozmowa; że prawda tkwi w dialogu. Jego żona, towarzysząca niedobrym doświad-

Rysunek ANDRZEJA PODULKI



KOMENTATOR: Nastala zima! Członkowie rodu Forysiof nareszcie wzięli się ostro do pracy!

IMPRESARIO: Rodzina się zebrała, no i wybrała mnie jako... na dyrektora administracyjnego, jako... jako impresario! No, to redaktory, za przeproszeniem, przyjeżdżają, nagrywają, a my nie mamy żadnego zysku! Żadnego! Piniążków nie mamy! Właśnie chcemy założyć swój zespół, żeby mieliśmy pieniądze! Aktorów mamy. Caluutka rodzina — każdy aktor jest. Co jeden, to lepszy aktor! Troche — jak chodzi o załatwienie spraw tych ogólnych... to znaczy — mamy trudności z pluszem, co potrzebny na kurtyne. No, nie ma gdzie załatwić. Teraz chciałem welwet kupić. Nie ma! Tylko takie płótno kupiłem białe. Chciałem pomalować, ale farby nie ma! No to ja gotuję cybuli skorupki, no i moczę płótno, iii... właśnie takie brązowe wychodzi. Tak jak jajka się maluje na Wielkanoc. Pasuje jak nie wiem! Nie mogłem dostać desek na scenę, ale poszedłem ze szwagrem, no i kłocy dwa my spuścili w lesie, i deski so! Scena jest! A jak chodzi o żarówkę, to ciężka sprawa. No bo wchodzi do sklepu, a tam tylko do latarek, baterijek i do telewizora żarówkę! I takie trudności mam! Żeby były żarówka, to już by jakoś teatr się rozwinął...

KOMENTATOR: Kłopoty kłopotami, a życie toczy się dalej! Magister Forys Stefan już się uporał z niemi właśnie!

MAGISTER: Tak, napisałem taką małą sztukę. „Z rozsądku”.

REPORTER: Tytuł „Z rozsądku”?

MAGISTER: Tak, tytuł taki. Chodzi mi o pewne młode małżeństwo, które... którzy pobrali się z rozsądku, mimo że mieli przeszkody na tym polu przez rodziców. No i dramat zaczyna się na tym polu, gdzie trzeba spędzić pierwszą noc poślubną.

REPORTER: Aha! To może byśmy tam do tej sceny... (szelest wrotowanych papierów) doszli. O! On ją pyta... O co ją pyta? Nie mogę rozczytać, bo to jest jeszcze w rękopisie. Jeśli się pomyli, to pan mnie...

MAGISTER: Poprawię. Ja to znam prawie już na pamięć.

REPORTER: „Czujesz?” — pyta on...

MAGISTER: Tak, tak, to jest ona.

REPORTER: „Owszem” — odpowiada on.

MAGISTER: Tak, to on.

REPORTER: A jak jest tam dalej, co ona odpowiedziała?

MAGISTER: „No! Jakby inaczej! Oczywiście!”

REPORTER: Aha! To jest „Oczywiście”, a ja odczytałem „Uroczyście”. Czy ta scena jest długa?

MAGISTER: Nie jest długa, mimo że można byłoby ją, prawda, rozszerzyć. Problem scen typowo łóżkowych... te problemy są szerokie i mają dużo treści.

REPORTER: Czy pan już przedstawił zespołowi tę sztukę?

MAGISTER: Eeee... zespołowi jeszcze nie przedstawiłem, bo, jak widzi pan, jest dopiero w rękopisie. Miałem wstępne rozmowy z... przyjęli moją sztukę iii... stwierdzili, że można to wystawić.

KOMENTATOR: Tymczasem dwa jednojajowe bliźniaki Forysiaki wspominają sobie właśnie!

BOLEK: Ostatnio, co mnie nie było kilka dni w domu, a mówię dla starej, że do szkoły pojechałem, to rozumiesz, tego... miałem tam, bracie, taką tego... Byłem, rozumiesz, w Olsztynie aż. A stara uwierzyła we wszystko, rozumiesz?! O! Widzisz, tak trzeba, bracie, sprawy przedstawiać, żeby nikt nic nie wiedział!

LOLEK: A pamiętasz, jak wujek poszedł do knajpy bez pieniędzy? To też, bracie, zgrywał dobrą komedię! Sie ubrał, bracie, w dobry garnitur, i udaje, że on tu jest wielki rzemieślnik, no! A on, bracie, nie miał centa w kieszeni. Ale jakoś zaczął bajerować i zaraz tam się znaleźli tacy, co jemu postawili. rozumiesz? To też agent dobry!

BOLEK: A ciotka w pekaesie? Straszny był tłok. Wracała z pracy i biletu nie miała. I co ona? Poleciała do kibla, sweter włożyła na brzuch sobie i dawaj udawać, że ona w ciąży! Wpuścili ją bez biletu. A później zaczęła krzyczeć, że będzie rodzic, to kierowca zatrzymał wóz i położył ją na fotelach. Później pod sam dom odwiózł! Heee, he he!

LOLEK: Ooooo! To lepsza historia była z dziadkiem! Kiedyś dziadek

chciał jechać do Grajewa, musi bez pieniędzy czy co, to położył się na szos, rozumiesz, tego, i udawał, że chory! Za bruchem się trzymał. Kierowca stanął, bo jak to — człowiek chory, trzeba udzielić pomocy. I zajechał, bracie, stary za darmo, nawet centa nie zapłacił! Takie cwaniaki, że tylko na scenę ich wysłać wszystkich.

BOLEK: My z bratem musimy zostać aktorami! Po nocach nam po prostu się to śni. No, ja nie uważam, że mogę pracować w innym zawodzie!

LOLEK: Raz on się budzi w nocy i recytuje jakąś tam rolę, którą usłyszał w telewizji. Może byś zarecytował coś?

BOLEK: No, w tej chwili to akurat nic sobie nie przypominam, ale... no, po prostu chcę grać, chcę być aktorem! To jest moje marzenie, tylko jedno w życiu!

(Wieżska chata; pobrząkują talerze, które akurat zmywa primadiva)

PRIMADIVA: No, wie pan, jak to jest. Każda chciałaby być tą wyjątkową...

REPORTER: Aktorką?

REPORTER: Po linii radia. Chcielibyśmy się dowiedzieć, jak wygląda sprawa tego teatru, który miał tu ponoć...

NACZELNIK: Więc... tak, jak ja jestem zorientowany, to zgłosili się do mnie w sprawie właśnie tego... założenia przy gminie tego teatru. Więc zdanie moje jest... jak by to należało rozwiązać?

REPORTER: No właśnie, jakie jest pana zdanie?

NACZELNIK: Moje zdanie jest takie, że... problemy mamy! Bo przede wszystkim zaraz trzeba zatrudnić jakiegoś dyrektora, cały szereg instruktorów, a to za sobą pociąga i etaty i koszty! A w tej chwili mamy kłopoty inne!

REPORTER: My mamy pewną propozycję! Pan zatrudnia w urzędzie zdaje się czterdziestu siedmiu pracowników-urzędników...

NACZELNIK: Owszem, zatrudniam, ale to wszystko załatane, że nie ma mowy! Jeszcze odczuwamy brak, właśnie... tych etatów.

REPORTER: A może tak przesunąć kogoś?

NACZELNIK: No, nie widzę! Nie

REPORTER: Sprawozdania na czas nie wychodziły?

NACZELNIK: Oczywiście! I sprawozdania, i dopiero teraz dopatrzyłem się, że jest bałagan, więc wprowadziłem nowych pracowników, odpowiedzialnie ich przeszkoliłem i później się zastanowię — może zrobię płynność kadr?

REPORTER: A gdyby tych pracowników z miejsca wprowadzić do teatru?

NACZELNIK: Nie widzę tego. I nawet, powiedzmy, do teatru musi być osoba przygotowana, nie wzięta od razu z ulicy. A ja obojętnie sam bym tego nie przygotował, bo ja z zawodu nie jestem artystą, tylko jestem, powiedzmy, rolnikiem.

REPORTERZY: No to my już dziękujemy. Do widzenia!

(Z wnętrza studzienki kanalizacyjnej dochodzi głos eksperta — metaliczny i dudniący)

EKSPERT: Na temat teatru? No to co by tu... Pokazać muszę trochę! A to nic a nic ni ma tego!

REPORTER: To znaczy — czego?

EKSPERT: No, nawet tylko nie widać. I takich innych rzeczy, no! Żeb to wszystko było w ogóle widoczne. I nogi, i za nogami — wszystko żeb było.

REPORTER: W teatrze?

EKSPERT: Taaaak! To powinno być! Trochu pokazują, tylko rozdrażniają ludzi... To przecież miasteczko, mamy kulturę, wszystko, a tego brak! Nic, tylko zacofane wszystko, a powinno naprzód iść! Tu każdy by to popierał, nie tylko ja. Na pewno!

KOMENTATOR: I znowu reporterzy wkraczają do akcji. Ród Forysiof ciongle liczy na nich! A już zwłaszcza Jadzia z bufetu.

REPORTER: Ilu pani ich ma, tak mniej więcej, tych stałych aktorów?

JADZIA: Stałych aktorów (śmieje się). Ze dwieście, trzysta... Z tymi aktorami to kłopot, bo jak ich tutaj najdzie, to nie wiadomo, co z nimi robić! Te dwie sale... dwie sale pełne, proszę pana! Cyrki odstawiają takie, więcej jak w teatrze, proszę pana, bo i pod stołem, i za stołem, i na ścianie — gdzie ich nie ma? Jeden śpi, drugi gra, trzeci śniwka, czwarty pokazuje, co w ogóle można pokazać, piąty kłóci się, inny całuje się znowu... Ach! Rozmaite cyrki wyprawiają!

REPORTER: Pani ich wszystkich zna?

JADZIA: Wszystkich nie znam.

REPORTER: Czasem są i tacy na gościnnych występach?

JADZIA: Tak. Też tak bywa. Oni sami są publicznością dla siebie. Sami siebie podziwiają.

REPORTER: A jak jest z tekstami?

JADZIA: Zależy jakie posypią się czasem, ale na ogół to takie... nie bardzo cenzuralne właśnie. Przeważa monolog. Gada jeden do drugiego, ale nikt nikogo nie słucha. Sami siebie słuchają.

REPORTER: A kto płaci za bilety?

JADZIA: Aktorzy sami płacą!

REPORTER: Jaka jest cena biletów?

JADZIA: Dostępna! Popatrzeć tylko na półki!

REPORTER: Czteryście? Trzysta sześćdziesiąt? Takich biletów nikt tu chyba nie kupuje! Najtańszy bilecik sto sześćdziesiąt...

JADZIA: Pogrzebowy. Tak go nazywają. O! Aktor idzie! Przepraszam.

AKTOR: Ja jestem jeszcze zastępcą wydziału. Tak, znana jest nam ta sprawa. Uważam, jako przedstawiciel Wydziału, że jest to bardzo cenna inicjatywa, którą należy ze wszelkich miar popierać. Wydział postara się... eee... jakoś tej inicjatywie wyjść naprzeciw. Będzie to pomoc wszechstronna. Zobowiązemy Wojewódzki Dom Kultury, żeby właśnie, no... skontrolował... poza tym udzielimy nawet innej pomocy. Myślę, że takie formy będą się jeszcze rozszerzać... No, sam obojętnie uważam, że taki rodzaj, że tak powiem, sztuki po prostu wynika z jakiejś naturalnej potrzeby!

KOMENTATOR: To już koniec Sagi Rodu Forysiof! Oni już swoje odegrali. Wy też możecie mieć taki teatr i każdy może być aktorem. A nie jest?

**ANDRZEJ BARTOSZ
WIESŁAW JANICKI
FOF. GABOR LÖRINCZY**



szczęśliwe rozwiązanie

PRIMADIVA: Aktorką, tak. Ale, wie pan, nie każda, no, nie każda się może do tego nadawać, bo przecież wyjść na scenę z taką figurą, na przykład, jak ma Wacka żona, no to wie pan co — by wyśmiali! Ta naszego Bogdana... no, może by się nadawała, ale tylko w spodniach, bo bez spodni, w spodniach, to jej te krzywe nogi widać! Przypuszczam, że chyba tylko ja bym się z nich nadawała, chociaż się śmieję, że już ja mam po czterdziestce. A przecież wystarczy popatrzyć na scenę czy w balecie — to wszystkie nawet więcej jak po czterdziestce mają! No i grają! Tak samo i ja bym mogła! No, ale nie wiem, jak to będzie. Do tej pory wcale nie nie uzgodniono. Jeszcze się zobaczy, która z nas będzie! A tamte się przecież nie nadają. I jeszcze chodzą, mnie obgadują do ludzi, że ja koniecznie chcę być na tym stanowisku... aktorki. Były nawet u naczelnika w gminie, u dyrektora szkoły, a prawdopodobnie i do księdza mają iść!

REPORTER: Można, panie naczelniku? My z radia.

NACZELNIK: To znaczy — po linii...

widzę! Nie widzę w żadnym układzie! Mamy właśnie Dom Kultury...

REPORTER: Chyba go jeszcze nie ma! To jest klub „Ruchu”, jak słyszałem.

NACZELNIK: To jest klub „Ruchu”, ale zdajemy do tego, że to będzie Dom Kultury z biegiem czasu! Ale o teatrze... to jest wszystko marzenie ściętej głowy! No, myślałem o tym, ale przesunąć... to znów będzie kulała służba, powiedzmy, rolina. Będą kulały inne działy.

REPORTER: Ale ma pan, na przykład, siedmiu w dziale papierkowym, czy jak się on nazywa. Oni tam siedzą... Trzech nie wystarczy?

NACZELNIK: Nie, w żadnym układzie! Jest tyle tych robót, tak administracyjnych, jak i gospodarczych, że nie ma o tym mowy! I tak już mamy etaty uskokione!

REPORTER: Ale przedwczoraj przyjął pan trzech pracowników...

NACZELNIK: No, przyjąłem do rolnictwa, bo zmuszony...

REPORTER: Nie do rolnictwa, do papierków!

NACZELNIK: Musiałem, bo tam kulała robota.

obyczaje

MINI-KABARET
PIEKIELKO
PRZEDSTAWIA DRAMAT
ADMINISTRACYJNY
DIABELSKIE
OBRACHUNKI

Cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Biebrzański, Bużański, Dojliski i Narwiański, bujają tym razem coś jakby w obłokach, chociaż kopytami twardo stoją na ziemi.

DOJLICKI: Ostatnio nudno się jakoś zrobiło. O czym by nie mówić z wami, każdy o tym samym gada.

BUZAŃSKI: Niby o czym, miano- wicie?

DOJLICKI: Nie bądźcie wy tacy mądrzy, nie dam się sprowokować. Z godnością zachowuję swój umiar i rozsadek.

BIEBRZAŃSKI: Co racja, to racja. Jak tylko rozewrzą swoje diabelskie pyski, sama smoła z nich leci.

NARWIAŃSKI: Za pozwoleniem. Mój umysł poszedł ostatnio w cał- kiem innym kierunku.

DOJLICKI: Możecie to sprezyzo- wać?

NARWIAŃSKI: Czemu nie. Nag- rodę Nobla, uważacie, zamierzam dostać w najbliższym czasie.

BUZAŃSKI: Niby za co, jeśli la- ska?

NARWIAŃSKI: Za poezję, ma się rozumieć, która w moim wydaniu, obok walorów humanistycznych, po- siada jeszcze czynniki poznawcze o nieprzemijających wartościach hi- storycznych w dodatku.

DOJLICKI: Po mojemu — do czterech nie umiecie zliczyć, ale dia- bły wiedzą, co tam u was w środku siedzi. Coście takiego ostatnio spło- dzili? No?

NARWIAŃSKI: Wypraszam sobie wszelką wulgarność w postaci aluzji seksualnych. Zebym miał duszę, byłaby ona skrzydlata, tak we mnie gra poetyczność, zmieszana z głębo- ką wiedzą poznawczą.

BUZAŃSKI: A może wy się pój- dziecie leczyć, kolego? Połóżcie się do szpitala... Chociaż nie! Diabeł z was licho, tym niemniej i takiego szkoda. W waszym szpitalu woję- wódzkim szybko by was wykończy- li. Personel medykamentalny nie ma tam czasu leczyć, tak jest silnie za-

jęty swoimi sprawami. Podobno sta- re wygrza nowe czy nowe podgry- za stare, nie wiem dokładnie.

NARWIAŃSKI: Leczyć się lepiej sami, a ja jak coś zaraz przeczytam, to wam czarne oko zbieleje. Ostat- nio przeprowadziłem wiekopomne badania historyczno-literackie, z czego wiersz powstał niebywały, o! (szuka w kieszeniach kubraczka, wyciąga pomietą kartkę, zaczyna czytać)

Badając wczesne dzieje ludzkości, Trafiłem na poniższe zależności. Oto król Herod w całej swej krasie Siedzi za stołem przy kiełbasie. Po prawej stronie Heroda zora, Salcesonami obłożona. W środku, pomiędzy królewską parą, Stos kabanosów niczym makaron. Tuż podgarlanka, przy niej kaszanka, W nosie się kręci od majeranka. Tu imbirowy pasztet z wątroby, Tam zimne nóżki, ówdzie podroby, Przy połędwicy dwa świńskie ucha. Obok parówek krakowska sucha, Góry żeberek, stos cynaderek Nawet zwyczajna, nawet litewska — Kręci się w oku zazdrości łezka. Spytaście pewnie — co za cholera, Skąd tyle tego dobra nazbierał? Otóż król Herod, popiwszy krzyne, Wyrzwał do nogi całą zwierzynę, Na rozplód nawet nie nie zostawił Mięsa tym samym dziś nas pozbawił!

DOJLICKI: No-no! Prawdę mó- wiąc, nie spodziewałem się tego po was. Rymy trochę jakby kulawe, ale jakiś sens! Nagrodę macie muro- waną.

BUZAŃSKI: Z prawdziwą przy- krością zgadzam się z kolegą Doj- lickim. Od jutra sam zaczynam ba- dać. Może wybadam, dlaczego nie ma cebuli? Nie dopuszczę do tego, żebyście sami dostali tego Nobla. Ja też muszę mieć co przepisać.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

SŁUCHAJ! DOWIEDZIAŁEM SIĘ, ZE WBREW WSZELKIM POZOROM NAJGORSZY JEST TEN TRZECI



KIEDY LINIE SIĘ STYKAJĄ

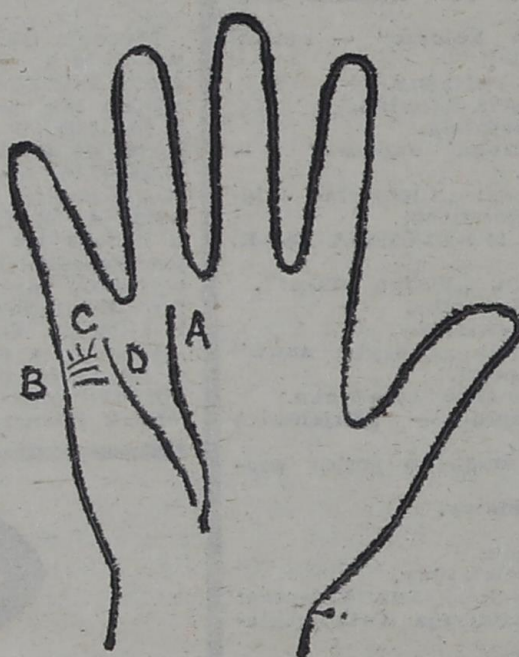
Linia słońca (A), zwana również linią szczęścia, biegnie od środka dłoni do palca serdecznego — posia- da ją mniej więcej połowa ludzi. Jeśli styka się z linią życia, wróży artystyczne sukcesy; połączona z li-

nią głowy — należy do intelektual- sty, a dochodząca do linii serca, oznacza powodzenie w miłości. Nie- stety, rzadko się zdarza, żeby linia słońca stykała się na jednej dłoni z linią głowy, serca i życia jedno- cześnie.

Linii seksu (B) może być kilka. Są to niewielkie linie poziome na brze- gu dłoni, tuż pod małym palcem. Ich ilość wskazuje na możliwości przeżyć seksualnych. Jedna linia seksu, a przy tym wygięta ku górze, mówi, że będą kłopoty.

Linie płodności (C) to jeszcze mniejsze, pionowe linie, przecinają- ce linie seksu. Ich ilość sugeruje ilość dzieci, ale chiromanci prze- strzegają, że linie te oznaczają ra- czej predyspozycje, a nie to, co być musi. Głębokie i szerokie kreski obiecują chłopców, cienkie — dziewczynki.

Linia zdrowia (D) biegnie od ma- łego palca w kierunku linii życia. Jej zupełny zanik traktuje się jako oznakę końskiego zdrowia. Jeśli li- nia zdrowia przecina linię życia — wróży choroby.



Rysunki Topora

POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY